schronzin

postnuklearny magazyn trzynastego schronu

#8.2018

FUTUROLOGIA

ISSN 2545-2312

SPIS TRESCI

Wstępniak – str -*3*

Co będziemy jeść za 30 lat – str - *4,5*

Kilka pytań – str - *6*

Paradoks Menona – str - 7 - *10*

Cyberpunk w interpretacji Starego Wujka - str - *11 - 13*

Cyberpunk w interpretacji Adama – str - *14 - 19*

Recenzja płyty Poradni G 'Niestety nie da się olać systemu' - str - *20, 21*

Apollo daje znak – str - *22, 23*

Po co ci wiedzieć? - str - *24, 25*

Spadkobiercy Pytii - str - *26*

Recenzja komiksu 'North Wind' - str - *27, 28*

Opowiadanie „Zeerruum 13" - str - *29 - 31*

Pod okiem cyklopa – str - *32 - 34*

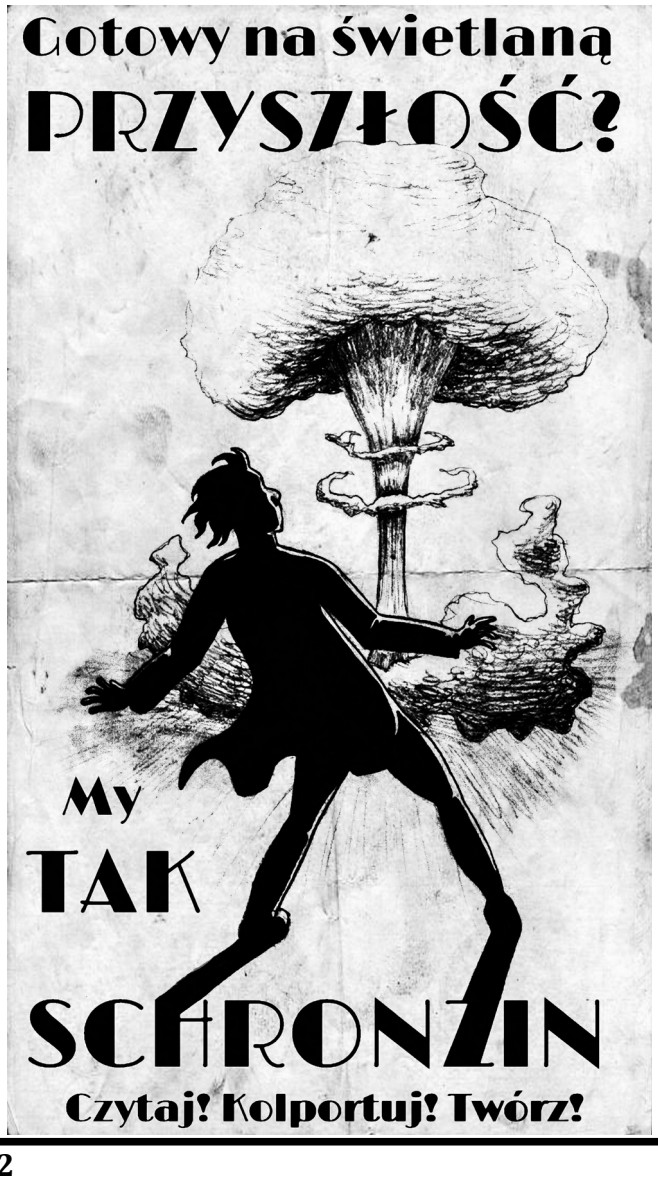

INFO O NAS

Wyrośliśmy z Fallouta, choć z niego się nie wyrasta. Jednak, ileż można pykać w gierkę znając wszystkie jej konsekwencje i niekonsekwencje? Co mieliśmy napisać na jej temat, to już napisaliśmy. Odsyłamy do schronowych zasobów. Od Fallouta wszystko się zaczęło, ale na nim się nie skończyło. Formuła fantastyki postapokaliptycznej, reprezentowana narracyjnie przez trzy siostry – Preapo, Apo i Postapo – okazała się dostatecznie pojemna, by utrzymać serwis przy życiu przez kolejne lata. Właśnie minął osiemnasty. Kto powiedział, że dorośli nie mogą się bawić?

REDAKCJA

Iwona "Lithium" Sewera
Redaktor
Kacper "Rodrrik" Kandora
Redaktor, koordynator numeru ósmego,
Jerzy "Jerzy" Kubok
Redaktor, koordynator numeru ósmego
Tomasz "Stary Wujek" Tytłak
Redaktor
Adam Bełda
Współpracownik
Janusz "nie wiem" Zieliński
Redaktor naczelny
Skład i opracowanie graficzne numeru:
Kacper "Rodrrik" Kandora
Wsparcie merytoryczne:
Maciej "Dr Rectum" Szpakowski
Wydawca:
Kolektyw Trzynasty Schron
Siedziba: Pruszcz Gański, ul Żwirki i Wigury 6/27
E-mail Redakcji:
schronzin@trzynasty-schron.net

Nakład 300 egzemplarzy

ILUSTRACJE

Monika 'monkizz' Korzeb – Str. 2
U. Leone – Str. 7
Gerd Altmann – Str. 10, 26
Wilson, J. C./Nathaniel Bowditch – Str. 9
'UzbekIL' – Str. 15
Gordon Johnson – Str. 33
Shantanu Kashyap – Str. 16
Piotr Machałowski - Str. 20, 21
'ScienceGiant' - Str. 22
Cattell, Henry Ware – Str. 23

**Reszta ilustracji jest własnością intelektualną członków redakcji lub znajduje się na licencji publicznej, bez podania autorstwa.*

WSTĘPNIAK

Ziny to już przeszłość? Tak mówią. Poważne tematy zostawmy poważnym ludziom. Takie głosy też słychać. Trzeci obieg to wydmuszka dla pokolenia umarłych romantyków. Być może. A może i na pewno. Ale to jednak jakaś szansa na wyjście ze swojej internetowej bańki, potwierdzającej niezawodnie, niczym czarodziejskie lusterko, to, co myślimy. Niepozwalającej na konfrontację z innymi poglądami. Może zamiast bezskutecznych prób wyrywania uwagi facebookowi za pomocą pińćset halfnastego moda do ulubionej gry (Fallout rządzi!), wspominaniem chamstwa (zamierzonego lub nie) Sapkowskiego, czy politycznych gierek, lepiej postawić się otaczającej nas codzienności i pójść pod prąd z uśmiechem na ustach? My to zrobiliśmy, bo w końcu kto nam może zabronić?

Wiemy, bronimy przegranej ponoć sprawy - świat poszedł w innym kierunku - ale romantyzm zobowiązuje. Przedstawiamy nasz **"Schronzin"**. Ósmy numer nie do końca cyklicznego zinu o tematyce post apokaliptycznej, w którym zastanawiamy się nad sensem przewidywania przyszłości, czyli roszczeniami futurologii. Przecież zawsze jest inaczej, niż nam się wydaje, że będzie.

Przed wami zamknięta w 32 stronach solidna kwarta postkultury, niechrzczona i nalana od serca. Powiązany z tematem przewodnim, obszerny cyberpunkowy dwugłos **Adama** i **Starego Wujka**. **Rodrrik** wrzucił emocjonalne felietony, reckę komiksu w klimatach oraz płyty jednej z nieznanych punkowych kapel. Punk żyje! O czym Adam też zaświadcza. **Jerzy** natomiast, nie biorąc jeńców, zaatakował trzema artykułami pełnymi niebezpiecznych stwierdzeń. Garść refleksji o "inteligencji" w parciu na szkło dołożyła **Lithium**, a **nie wiem** o żarciu dorzucił. Fantastycznym, w obu znaczeniach tego słowa, dodatkiem, jest opowiadanie, wspomnianego już, Starego Wujka. Zamieszał i do kupy złożył to wszystko Rodrrik.

Grupa niepoprawnych osobników usiadła przy tapecie – symbolicznym w tym wypadku – stoliku obrad, przykrytym gustownym, zielonym suknem. Z tapetą nie ma on niczego (poza formą miejscownika) wspólnego. Nie mamy jednak nic przeciw tapetowaniu ścian "Schronzinem". Byle po lekturze.

Redakcja Schronzina

Poprzedni numer #7
Zombie

NIEWOLNICTWO

„Tyrania Bezpieczeństwa”

„Ludzka twarz totalitaryzmu”

„Zniewoleni”

„ReKreator”

Zajrzyj na stronę 35.

Następny numer #9
Niewolnictwo

CO BĘDZIEMY JEŚĆ ZA 30 LAT

Felieton

W uniwersum Fallouta globalna wojna została spowodowana niedoborem surowców, głównie ropy naftowej i gazu. W naszym świecie sprawy potoczyły się nieco inaczej. W latach 40. i 50. rozwinęły się tranzystory, a elektronika, systemy sterowania i automatyki uległy dzięki temu znacznej miniaturyzacji. Do globalnego konfliktu o surowce na razie nie doszło, chociaż według chronologii uniwersum stopniowe zaostrzanie sytuacji politycznej miałoby się rozpocząć za kilkadziesiąt lat. Stany Zjednoczone wycofały się z paryskiego porozumienia klimatycznego, Donald Trump głosi powrót do gospodarki opartej na węglu,
a Indie i wiele afrykańskich krajów dopiero będą wchodzić w erę masowej produkcji energii elektrycznej z zasobów kopalnych. Zmiany zachodzące w Europie dają jednak nadzieję, że niedobory ropy i gazu znikną z podium najgorętszych tematów najbliższych dziesięcioleci.

Obecnie Unia Europejska formuje coraz odważniejsze plany produkcji energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych. W wielu krajach energetyka jądrowa jest w odwrocie na rzecz np. farm solarnych (chociaż tutaj kwestie ekologiczne są mocno dyskusyjne).

Coraz głośniej artykułowane są obawy o dostępność wody pitnej w perspektywie najbliższych dziesięcioleci. Idą za tym konkretne pomysły i projekty, choć nie zawsze jeszcze działania. Nie budujemy co prawda sfery Dysona, ale świadomość tego, że zasoby energetyczne się wyczerpują jest w pewnym stopniu widoczna. Podejmowane są mniejsze lub większe działania, mające na celu dywersyfikację źródeł energii. A zatem żyjemy w – może nie idealnym – ale bezpiecznym świecie i niczego nie musimy się bać.

Czyżby?

Warto pamiętać o energii dla naszych komputerów, laptopów, samochodów, domów i telewizorów, ale jeszcze lepiej pomyśleć o energii dla nas samych. Jako że nie możemy (jeszcze) literalnie wymienić sobie baterii, tylko musimy posilać się zbilansowaną dietą (co też nie zawsze się udaje wielu milionom ludzi, będącym codziennie w biegu), trzeba zwrócić uwagę na problem produkcji rolnej na Ziemi i na to z jakimi wyzwaniami przyjdzie jej się zmierzyć przez najbliższe kilkadziesiąt lat.

Oczywiście Trzynasty Schron nie śpi i zawsze czuwa, a nasze propozycje żywieniowe przedstawia **Stary Wujek**. Może być jednak tak, że szynka, brokuły, jajka i pomidory nie wystarczą. I co wtedy?

Punktem wyjścia dla dalszych rozważań są szacunki przeprowadzone przez panią Lysę Dyson (pokrewieństwo ze wspomnianym wcześniej futurologiem nieznane). Otóż pani doktor i jej zespół uważają, że do 2050 roku na Ziemi będzie żyło 10 miliardów ludzi, a produkcja żywności będzie musiała być zwiększona aż o 70%. Z prostego rachunku proporcjonalności wynikałoby, że jedynie o 40% (skoro teraz jest nas 7 miliardów... a raczej było – pięć lat temu!), ale kto tam będzie dyskutował z naukowcami. Z drugiej strony – może uwzględniono takie wymagania żywnościowe, by nikt na świecie już nie głodował i stąd ta wyższa wartość.

Pani Dyson, tak samo jak Pan Dyson, również patrzy w stronę gwiazd. Nie po to jednak, by je obudować szczelną pokrywą, ale by zaczerpnąć inspiracje dla badań nad tym, jak zwiększyć potencjał żywnościowy Ziemi, na której już teraz (według jej obliczeń) powierzchnie uprawne i hodowlane stanowią tyle co Ameryka Południowa i Afryka razem wzięte. Na podstawie innych źródeł wychodzi na to, że tylko 1/5 lądów Ziemi ma dobre warunki do uprawy ziemi –

Jest to niecałe 30 mln kilometrów kwadratowych.

Czyli właśnie tyle co... powierzchnia Afryki. Ameryka Południowa to kolejne 18 milionów kilometrów kwadratowych. Pamiętajmy jednak, że Pani Dyson przytacza powierzchnię, na której nie tylko się uprawia rośliny, ale również hoduje i wypasa zwierzęta. A to można robić nawet na górskich halach. Przyjmijmy zatem, że podane wartości są dość rzeczywiste. Co więcej – oznacza to, że już wszystkie lądy, które można było zagospodarować pod uprawę, zostały prawdopodobnie zagospodarowane. Nie daje to wielkiego wachlarza działań w perspektywie kolejnych lat.

Co jednak z tą inspiracją gwiazdami? Lysa Dyson wraz ze swoim zespołem dokopała się w przepastnych bibliotecznych zasobach do badań NASA, przeprowadzonych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wtedy naukowcy interesowali się tym, jak efektywnie produkować żywność na statkach kosmicznych, które są odizolowanymi obiektami o ograniczonych zasobach. Właśnie w ten sposób spojrzał na Ziemię zespół Lysy – nasza planeta spełnia oba kryteria, którymi pół wieku temu opisywano statek kosmiczny. Widoczna jest zmiana horyzontów.

Naukowcy chcą zaprzęgnąć do produkcji żywności specjalne mikroby, które bardzo szybko wprawiają w obieg węgiel. Powodują wiązanie węgla związanego z tlenem, wydychanego przez astronautów oraz pozwalają na produkcję białek. Zespół badaczy wytworzył dzięki tym małym żyjątkom proste produkty spożywcze oraz olej, który można wykorzystać również przemysłowo.

Czy za trzydzieści lat będziemy posilać się materią wyprodukowaną z wydychanego przez nas powietrza? Może to być bardzo abstrakcyjna wizja. W pierwszym kroku pozwólmy na mentalne przygotowanie się do posilania się białkiem pochodzącym z owadów. Na odważniejsze przełomy przyjdzie jeszcze czas.

Janusz 'nie wiem' Zieliński

Felieton

KILKA PYTAŃ

Czy chcielibyście żyć wiecznie?

Kiedyś już zadawałam to pytanie na łamach Trzynastego Schronu, pisząc o teorii, wedle której urodził się już człowiek, który będzie w stanie przeżyć 300 lat.

Co robilibyście mając do dyspozycji tyle czasu?

Obserwuję "internety" i zastanawiam się do czego to wszystko zmierza, skoro każdego dnia powstaje cała masa treści, których nikt nie czyta, a z drugiej strony ogromna ilość szitu, który nigdy nie powinien ujrzeć światła dziennego. Kiedy patrzę jak tysiące dzieciaków ogląda tandetne live-y z jakiejś gry, zastanawiam się dlaczego? Docierają do mnie treści, które nie niosą ze sobą żadnych wartości merytorycznych ani estetycznych, a na dodatek są tworzone niebywale prymitywnym językiem. Widzę stream z pokoju typowego blokersa, który nie robi niczego ciekawego, a anonimowi widzowie wpłacają mu kasę, by trafić na listę top donatorów. W sieci na tysiącach grup, forów i blogów ludzie publikują wszystko co im wpadnie do głowy, produkując przy tym tak niewiarygodne błędy językowe, że zastanawiam się jak oni skończyli szkołę.

Na Facebooka, Instagrama czy YouTube w oczekiwaniu na lajki wrzuca się miliony zdjęć, w tym dominują selfie lub fotki dzieci (bardzo często nagich, bo brak twórcom myślenia o konsekwencjach), filmów o niczym, tekstów zdradzających najbardziej intymne szczegóły z życia. Bez żadnych oporów, podpisując się własnym nazwiskiem i wiedząc, że post trafi do szerokiego grona znajomych. Nie wystarczy już poinformować, że ma się potomka, ale trzeba w całej okazałości pokazać cud narodzin, łącznie ze streamem z porodówki. Chwilę później trzeba wrzucić jeszcze naturalistyczne zdjęcia rozstępów na brzuchu.

Telewizja też tworzy coraz głupsze programy i ktoś to ogląda, kogoś kręci np. poziom tworu o nazwie "Warsaw shore", a współczesne dziewczyny otwarcie opowiadają przed kamerami, co można zrobić z grupą muzyków po koncercie. Inni produkują durne "wyzwania", "łańcuszki" albo reakcje na reakcję na jakiś filmik.

Może ja mam ostatnio jakieś "szczęście" do trafiania na syf w sieci. Wylewa mi się ten rak z Internetu i niedobrze mi się robi. Dlaczego ludzie mają czas na takie treści? Na tworzenie i oglądanie tego. Nieraz się zastanawiam dlaczego i ja straciłam czas na zobaczenie czegoś. Czemu nie ma jakiejś blokady treści na żenującym poziomie, albo przynajmniej oznaczeń, że to dno.

Co jeszcze zobaczymy w przyszłości?

Jak daleko zabrnie obnażanie siebie? Czy pokazano już wszystko? A jeśli to przestanie w nas budzić emocje, to jaki będzie ten świat, kiedy już wszystko spowszednieje? Celowo nie poruszyłam tu tych bardziej brudnych tematów, przemocy, dewiacji, okrucieństwa, bo nawet nie chce mi się myśleć o tym.

Czy to jest przyszłość, czy też świat zatacza krąg i wracamy do korzeni? Prymitywnych i niskich, za to wyposażonych w technologiczne zdobycze. Czy chcecie żyć wiecznie, otaczani rzeszą atencyjnych bezmózgów, wciskających swoje twory w każdy dostępny fragment rzeczywistości?

Iwona 'Lithium' Sewera

Felieton

PARADOKS MENONA

Czy futurologia jest nauką?

„I w jaki sposób będziesz razem szukał, Sokratesie, tego, o czym w ogóle nie wiesz, co to jest? Bo którą z tych rzeczy, o których nic nie wiesz, weźmiesz przed siebie i zaczniesz szukać? Przecież, gdybyś nawet w sam raz na nią natrafił, to jak będziesz wiedział, że to jest właśnie to, czegoś nie znał?"

Sokrates, zanim odpowie, rekapituluje wypowiedź oponenta. Niegdysiejsza kultura dyskusji budzi podziw. „Ja rozumiem, co ty chcesz powiedzieć, Menonie. Widzisz, jaką ty sporną myśl wprowadzasz, że nie może człowiek szukać ani tego, co zna, ani tego, czego nie zna. Bo jak zna, to przecież nie będzie szukał. Już to zna. Takiemu nie trzeba dopiero szukać. Ani tego czego nie zna. Bo wtedy nie wie tego nawet, czego ma szukać."

Nie musimy się przejmować tym, czego szukali ówcześni dyskutanci, ani też tym, jakie zdanie na ten temat miał sam Platon, na ile identyfikował się z którymś stanowiskiem. Dla nas z powyższej argumentacji - cytatów z dialogu „Menon" - wypływa prosty wniosek. Naukowe odkrycia są niemożliwe. Poszukiwanie nowej wiedzy jest bezsensowne.

Jeśli jej nie mamy, to nie potrafimy zidentyfikować wyniku poszukiwań, a jeśli mamy, to nie musimy szukać.

Od początku to rozumowanie sprawiało kłopot; było niezgodne z potocznym doświadczeniem, ale starożytni myśliciele nie potrafili go obalić. Sformułowane przez Platona wyjaśnienie, którego w dialogu używa Sokrates; istnieje dusza świata obdarzona wiedzą, w której udział mają dusze wszystkich ludzi, co sprawia, że odkrywanie sprowadza się w istocie do procesu przypominania, jest dla nas nie do przyjęcia.

Problem, czyli paradoks Menona, pozostaje. Mamy logiczny wywód, który prowadzi do absurdalnego wniosku. Gdzie tkwi błąd? Czy warto się nim przejmować? Czy zagadka wyprowadzi nas na manowce, czy pozwoli odkryć coś ważnego?

Nie jest to problem naukowców. Oni odkrywają nie przejmując się paradoksem, mogą nawet nie wiedzieć, że ktoś kiedyś uznał ich działania za bezsensowne. To powinien być problem futurologów, choć akurat oni zdają się go nie zauważać.

„Niech nie wchodzi tu nikt, kto nie zna geometrii". Taki napis miał widnieć nad wejściem do platońskiej Akademii. Nawet jeśli to legenda, to doskonale obrazująca pojmowanie naukowości przez starożytnych Greków. Albo jest dowód, albo go nie ma. Tylko absolutnie pewna wiedza zasługiwała na miano naukowej (jak byśmy dziś powiedzieli). Nawet minimalny ułamek niepewności był dyskwalifikujący. Dychotomia; czarne – białe, bez odcieni szarości pośrodku.

Tytułowy paradoks jest złudzeniem.

Nie opisuje realnej sytuacji w której znajdują się uczeni. Jest wynikiem nieuświadomionych założeń jakie przyjęli starożytni filozofowie. Granica pomiędzy wiedzą a niewiedzą jest rozmyta, dychotomia nie jest poprawnym opisem rzeczywistości. Rozumowanie Menona prowadzi do absurdu, bo opiera się na tym błędnym założeniu. W rzeczywistości, poszukując, zawsze co nieco wiemy o obiekcie badań, nawet jeśli ostatecznie znajdziemy odpowiedź na inne pytanie, niż to, od którego zaczynaliśmy. Są jakieś formalne i problemowe ramy, wiadomo co nieco o tym czego szukać, albo (ostrożniej) czego nie szukać i jaki kształt nadać sprawozdaniu, by zostało uznane. Starożytna metodologia nie doceniała znaczenia hipotez, kontekstu, wiedzy cząstkowej lub niezwerbalizowanej. Nie dostrzegano tego, że każde pytanie określając kontekst i ramy akceptowanej odpowiedzi, ma wartość informacyjną.

Niewłaściwie sformułowane pytanie może uniemożliwić odpowiedź. Nieznajomość pytania może sprawić, że odpowiedź będzie niezrozumiała. Jednym z podstawowych zadań historyków nauki czy filozofii, czytających na co dzień „dziwne" teksty, jest rekonstrukcja oczywistych niegdyś, a nieczytelnych dla nas pytań, na które owe teksty miały być odpowiedzią.

Błędny jest formalny, wyidealizowany w podręcznikach schemat – najpierw problem, później poszukiwanie, a w finale odkrycie. Często precyzyjne postawienie właściwego pytania jest możliwe dopiero pod koniec tego procesu, właściwie wieńczy dzieło. Odkrycie nie jest nową odpowiedzią na istniejące pytanie. W jaki niby sposób futurolog miałby postawić dobre pytanie? A skoro nie ma pytania, to nie może być odpowiedzi. I na tej konstatacji należałoby skończyć, ale możliwość dokopania roszczeniom futurologów okazała się zbyt kusząca. Warto spojrzeć wstecz, rozpatrzeć kilka exemplów z historii nauki, które ilustrują różne kłopoty, widoczne dopiero z odpowiedniej perspektywy. Jak leczyć? Pytanie zdecydowanie zbyt ogólne. Przymiotem średniowiecznych francuskich królów, darem otrzymywanym wraz z namaszczeniem niebiańskim, świętym olejem z czasów chrztu Chlodwiga, była umiejętność leczenia skrofułów. Czyli właściwie czego? Zapalenia węzłów chłonnych wywołanego przez prątki gruźlicy? Możliwość sformułowania takiej diagnozy pojawi się dopiero po paru wiekach. Dla średniowiecznego medyka byłaby zupełnie niezrozumiała. A gdyby go oświecić?

Toż to futurologia stosowana w retrospektywie.

Niestety, nawet gdyby ówczesny medyk – dzięki jakiemuś podróżnikowi w czasie – przyswoił sobie naszą siatkę pojęciową, zobaczył to co widzą współcześni lekarze (nienazwane nie istnieje, jak mówią), to nie byłby w stanie jej wykorzystać do leczenia. Bez podręczników diagnostyki różnicowej, leków i laboratoriów jego wiedza o istnieniu drobnoustrojów i znajomość klasyfikacji chorób byłyby bezużyteczne. Nie mówiąc już o tym, że naraziłby się na śmieszność lub – w gorszym wypadku – na stos. A dotykanie przez króla jakichś guzów na szyi i twarzy nie mogło zaszkodzić, co pozytywnie wyróżnia ową metodę na tle ówczesnych praktyk.

Przysięga Hipokratesa zobowiązywała. Chirurg (czytaj; balwierz, cyrulik) był ostatecznością.

Przyszłość ma korzenie w teraźniejszości. To podstawowy argument futurologów, nadaje sens ich aktywności. Nie da się zaprzeczyć, ale w tak ogólnej postaci to stwierdzenie jest bezużytecznym truizmem. Żeby skutecznie przewidywać przyszłość trzeba wiedzieć na co zwrócić uwagę, które szczegóły nie pasują do aktualnego obrazka. Jak ma to zrobić futurolog, skoro niezgodności, niepasujące puzzle umykają uwadze specjalistów? Wszyscy ludzie, nie wyłączając naukowców, są uwięzieni w swoim czasie (zob. niżej), a dodatkowo mają skłonność do samooszustwa.

Nie jest tak, że niezgodności obserwacji z teorią spędzają naukowcom sen z powiek, i rzucają się oni gremialnie do wymyślania nowej. Jakoś na życie muszą zarabiać. Dopóki się da, problemy są ignorowane, zamiatane pod dywan. Ptolemeuszowa teoria astronomiczna nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego okresowo zmienia się wielkość tarczy księżyca. Zresztą kopernikańska, w swoim oryginalnym kształcie, zawartym w „De revolutionibus" też tego nie osiągnęła. Zapewne u astronomów przed Keplerem powodowało to czasem dyskomfort, ale nic więcej. Czyż nie używamy do dziś bezsensownego powiedzenia o wyjątku potwierdzającym regułę?

Nienormalne, nie do końca zgodne z przewidywaniami newtonowskiej mechaniki, zachowanie Merkurego było tajemnicą poliszynela wśród dziewiętnastowiecznych astronomów. Wymyślono, jak zwykle, wytłumaczenie ad hoc – nieznaną planetę, bo niedawno się sprawdziło – byle mieć kłopot z głowy, zachować spójność i harmonię istniejącego modelu. Prawdziwego wyjaśnienia dostarczyła teoria względności Einsteina, która wcale nie powstała po to, by tę niezgodność usunąć.

Mechanika newtonowska doskonale sprawdza się w „ludzkiej" skali, nie ma bowiem powodu by we wszystkich obliczeniach uwzględniać efekt relatywistyczny.

Jest ona przybliżeniem, ale czy to znaczy, że jest nieprawdziwa? To pytanie do starożytnych. Futurologów wypadałoby zapytać, czy są pewni że w razie zauważenia takiej niezgodności wymyśliliby teorię względności?

Pojmowanie nauki jako w pełni logicznego procesu wiodącego do kolejnych odkryć, to konstrukcja ex post z kiepskich podręczników do historii. Sami odkrywcy, chcąc uchodzić za bardziej logicznych, niż byli w istocie, mają w tym swój udział. W dobrych książkach poświęconych historii nauki mamy, w najlepszym przypadku, coś na kształt streszczenia wielowątkowej, zawęźlającej się dyskusji z motywem wiodącym. Nie może być inaczej, wszystkich znaczących elementów sytuacji nie da się inaczej opisać. Jest zbyt chaotyczna. Jak się to ma do futurologii? Z pewnością specjalista potrafi wskazać jakieś problemy w swojej dziedzinie i najbardziej obiecujące kierunki badań. Bez gwarancji sukcesu jednak, bo gdyby mógł, to już by tego odkrycia dokonał. Całkiem dobrze sprawdza się zasada sequela – szybciej, mocniej, więcej, czyli będzie jak jest, tylko bardziej, choć w tym wypadku akurat nie są potrzebne żadne naukowe kompetencje, bo mamy świadomość szybkich zmian zachodzących wokół. Nie da się zaprzeczyć, że krótkoterminowe prognozy mogą mieć ograniczoną użyteczność.

Jednak futurologia w swojej najbardziej ambitnej i ponętnej postaci obiecuje znacznie więcej. Naukową, długoterminową prognozę, będącą opisem cywilizacji przyszłości, świata po kolejnej naukowej rewolucji (którą uważa za pewną, bo były poprzednie). Tym punktem nieciągłości będzie nowe wspaniałe odkrycie lub – częściej, bo jakiś związek ze stanem obecnym pozostaje – synergia raczkujących dziś technologii, która sprawi, że świat ulegnie jakościowej zmianie. Tylko jak sprawdzić taką wizję?

Futurolog chce wiedzieć co będziemy wiedzieć. Ale rozwój nauki to nie tylko logika, a poza tym niezawodnego algorytmu prowadzącego do kolejnych odkryć nie da się napisać. Nawet matematyka podlega ograniczeniom. Z twierdzenia Gödla wynika, że istnieją zdania prawdziwe, których nie można dowieść w ramach przyjętego systemu formalnego.

Czyli – analogia nie może być dowodem, ale burzy poznawczy optymizm – nie można mechanicznie odkryć nawet tego, co mieści się w ramach spójnego, logicznego paradygmatu. Potrzebny jest szerszy.

Odkrycia są uwarunkowane nie tylko przez poziom technologii (instrumenty) i aktualnej wiedzy. Istotny wpływ ma także kultura, zasady finansowania i organizacji pracy, istnienie (lub nie) wyspecjalizowanych instytucji, a nawet osobiste, życiowe doświadczenia odkrywcy i jego psychologiczna konstrukcja, aczkolwiek wpływu tych ostatnich czynników nie można przeceniać. Każdy naukowiec zawsze był i jest osadzony (skojarzenie zamierzone) w jakimś paradygmacie, tradycji naukowej swojej epoki, kulturowym kontekście i charakterystycznym stylu myślenia. To uwięzienie ma także dobre strony. Dzięki niemu historyczny człowiek z krwi i kości, a nie z czytankowych wyobrażeń, coś jednak wie i nie jest sam. Dzięki temu może weryfikować (lub ostrożniej, falsyfikować) swoje początkowe, niejasne intuicje. Nauka to działalność kolektywna. Znaczenie tego faktu nie zostało do tej pory dostatecznie podkreślone. Jeśli już koniecznie jakiejś metafory miałbym użyć do opisu nauki, to przychodzi mi na myśl stado magicznie skomunikowanych kretów, pracowicie ryjących w nadziei na znalezienie czegoś pożywnego. Obszar do przerycia ciągle się zwiększa.

Futurolog ma być wyjątkiem?

Samotnym geniuszem, obdarzonym sokolim wzrokiem, co wszystkie zasłony przebija, a jego duch wzlata kędy chce, uwolniony od wszelkich ograniczeń, metod, konwencji i tradycji? Jeśli tak, to jest postacią z platońskiego dialogu. Sam się obsadził w tej roli. W jego wypadku pytanie *„Skąd będziesz wiedział…”* Pozostaje w pełni aktualne. Wróżbiarstwo, nic innego, ale kto powiedział, że wróżbici są niepotrzebni?

Jerzy ‘Jerzy’ Kubok

CYBERPUNK

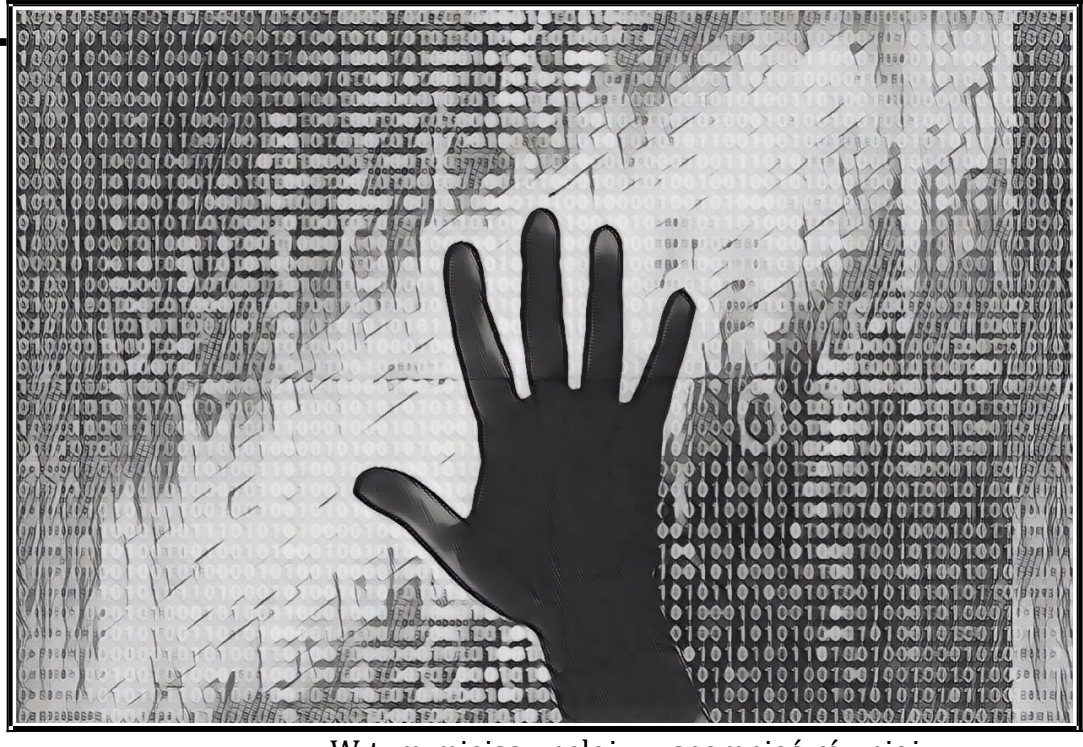

W interpretacji
Starego Wujka

Cyberpunk od jakiegoś czasu nie jest już tylko nurtem w literaturze, kinematografii czy muzyce i grach wideo. Stał się rzeczywistością oddziałującą na każdego człowieka. Nie wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę ponieważ nie dostrzegamy w sposób namacalny jego wpływu na nasze życie. Cyberpunk to rozległy temat, nie można go opisać w jednej krótkiej nocie. Teraźniejszości wszak nie da się streścić. Postaram się w kliku zdaniach przybliżyć „cyberpunkową wizję" świata, w którym funkcjonujemy.

Nie czuję strachu, że narażam się na niebezpieczeństwo za ujawnienie jakiejś szczególnej tajemnicy, które mogłoby mi grozić ze strony tych realnie rządzących. Opiszę jedynie stan faktyczny czasów, w których przyszło nam żyć.

Ludzkość dynamicznie kroczy naprzód. Od dawna utrzymuje się „Idea", według której

należy dążyć do nieustającego postępu.

Codziennie powstają nowe technologie, a ich długoterminowe oddziaływanie, z braku czasu, nie zostało dogłębnie przebadane. Postęp za wszelką cenę i zaawansowane wynalazki prowadzą niekiedy do nierozważnego ich wykorzystania. Często dobrodziejstwa techniki nie przyczyniają się do poprawy ludzkiego bytu. Mamy do czynienia z jednej strony ze skomplikowanymi wynalazkami, a z drugiej z ubogim życiem ludzi. Skutki tych działań dostrzegamy osobiście lub są nam przedstawiane w serwisach informacyjnych. Nastąpiła dominacja technologii nad warunkami egzystencji. Czyż nie czujemy lęku, że nie nadążymy dostosować się do szybko rozwijającej się cywilizacji? Kierunki zmian, które w niej zachodzą, bardzo trudno przewidzieć, a dostosować się do nich musimy wszyscy!

W tym miejscu należy wspomnieć również o kolejnej ważnej sytuacji.

Różnica w prawie wszystkich aspektach życia, między biednymi a bogatymi, wciąż się pogłębia.

Za sprawców tego stanu rzeczy wskazuje się wielkie międzynarodowe Korporacje, które bywają bogatsze od państw. To one decydują o naszej rzeczywistości, przetwarzając ją do własnych potrzeb. Dzieję się to w dużej mierze poprzez wywieranie wpływu na media masowe. Przy ich pomocy kreują modele konsumpcji, styl życia, zachowania społeczne i preferencje polityczne. W zawoalowany sposób wpływają na proces tworzenia prawa, osoby i instytucje. Dzięki operacjom finansowym na rynkach całego świata mogą powodować kryzysy gospodarcze, walutowe, handlowe na skalę globalną. Do takich i innych celów, międzynarodowym Koncernom potrzeba najlepiej wykwalifikowanych ludzi z różnych dziedzin. I stać je na ich pozyskanie. Fachowcy od public relations dbają o pozytywny wizerunek tych Molochów. Trzy słowa: Chciwość, Korupcja, Potęga najtrafniej opisują prawdę o Korporacjach.

Wszystkie firmowe tajemnice, zazdrośnie bronione są przez prywatne, dobrze wyszkolone armie, a ich członków można śmiało nazwać, ku uciesze lubiących Cyberpunk - Agentami. Walki o informację przemysłową pomiędzy Korporacjami to rzecz powszednia.

Zwykły człowiek nie ma pojęcia o skali tego zjawiska, zatem i ja postawię tu kropkę.

Internet - cyberprzestrzeń, która wrosła w codzienność. Każdego dnia miliardy ludzi (użytkowników) różnych narodowości uczestniczy w tym niewyobrażalnie złożonym tworze. Portale społecznościowe zastępują coraz częściej prawdziwy kontakt z drugą osobą. To atrakcyjniejsze miejsce, gdzie oprócz wymiany myśli, doświadczymy szybkiego dostępu do innych mediów: muzyki, obrazu. Za pośrednictwem tego „cyberkanału" mamy możliwość pozyskiwana danych z banków wszystkich komputerów świata! A czymże są gry on - line, rozgrywające się w tysiącach wyimaginowanych światów, w których bierze udział niezliczona ilość Graczy? Do tego można dodać jeszcze subkulturowy slang oraz żargon techniczny, którym posługują się w sieci niektórzy ludzie. Wszystko to jest próbą zastąpienia rzeczywistości tą wirtualną halucynacją.

W Internecie działają także jednostki mające na celu zniszczenie zwykłego użytkownika. Chcą pozbawić go nie tylko pieniędzy z konta bankowego, ale również wykraść poufne dane osobowe czy intymne sekrety. Wydaje się to niczym w porównaniu z cybernetycznymi atakami, a wręcz bitwami rozgrywającymi się pomiędzy wyżej opisanymi Korporacjami.

„Informacja to władza. Brak informacji to słabość. A słabość jest tym, na co sobie nie mogę pozwolić"

jak mawiał Xizor, postać literacka z Uniwersum Gwiezdnych Wojen, szef największej organizacji przestępczej – Czarne Słońce

Hackerzy, Crackerzy, Phreakerzy nie są już pustymi, fantastycznymi pojęciami. To określenia na ludzi z krwi i kości (czy tylko z nich??!?), mający wiedzę oraz środki żeby skutecznie działać w Sieci.

Poruszane problemy dotyczą nas wszystkich - mieszkańców świata „pod stalowym niebem". Wsie, miasteczka, miasta... nie ma miejsca, do którego nie dotarłaby technologia i związane z nią zarówno dobrodziejstwa, jak też zagrożenia.

Trudno znaleźć określenie społeczeństwa jakim się staliśmy. Definicji jest sporo, lecz nie czuję się na siłach żeby którąś dokładnie dopasować.

Chociaż biorąc pod uwagę istotę informacji, wydaje się, że być może jest to społeczeństwo postindustrialne. Głównym źródłem utrzymania nie jest produkcja przemysłowa, polegająca na wytwarzaniu przedmiotów, lecz wytwarzanie i przetwarzanie informacji. Tu jednak pojawia się myśl o szeregu produktów - technologicznych zabawkach, elektronicznych gadżetach, które znajdują się poupychane w kieszeniach dorosłych i dzieci.

Nieistotne są rozważania dotyczące nazewnictwa. Człowiek już dawno przestał być postrzegany jako indywiduum. Najwięksi producenci dokonali sprytnej kategoryzacji i dla konkretnego „zbioru" ludzi tworzą swoje produkty. Serwują ten sam artykuł, podany w innym opakowaniu.

Istnieje grupa, która nie godzi się na takie traktowanie, nie chce „zachowywać się i wyglądać jak z jednego sklepu". Swoją oryginalność przejawia przede wszystkim w stroju i różnych dodatkach, nawiązując tym sposobem do najnowszych technologii oraz cyborgizacji ciała. Ubiorem upodabniają się do wielkich miast, które zatrute są reklamowymi kolorowymi neonami, laserami czy hologramami. Obcisłe stroje z jasnymi połyskującymi elementami, długie płaszcze, wysokie buty i przeciwsłoneczne okulary – tak już nie chodzą tylko bohaterowie filmów gatunku fantastyki naukowej.. Fascynaci muzyki elektronicznej, o której nie mogę nic napisać. Wspomnę tylko trzy gatunki: jungle, drum and bass czy industrial.

Chodnik w Lublinie

A co z naturą?

Jesteśmy świadkami zastraszającej skali wyniszczania środowiska naturalnego. Nieskutecznie próbujemy powstrzymać proceder, lecz zagrożeń przybywa. Sankcje nakładane na Największych Trucicieli nie rozwiązują problemu. W żaden sposób nie można wyegzekwować zmian, pozostają bezkarni. Chciwość, Korupcja, Potęga – pamiętacie? Kwaśne deszcze to zjawisko niestety dosyć powszechne…

Medycyna! Dziedzina, która jest ogromnie interesująca kiedy mówimy o cyberpunku. Ciągła gonitwa i chęć utrzymania się na samej górze drabiny społecznej prowadzi do stosowania szybkich oraz wygodnych rozwiązań ułatwiających dotarcie do celu. Pojawia się pytanie - jak daleko jesteśmy w stanie się posunąć? Kiedy przestajemy być ludźmi, a stajemy się maszynami, niewolnikami do zaprogramowania i wykorzystania? Chemiczne używki to przykry standard ..

Współczesna medycyna niewątpliwie przyczyniła się do poprawy naszego zdrowia. Za sprawą technologii ma jeszcze wiele do odkrycia i zaoferowania. Genetyczne modyfikacje, klonowanie, znakomite mechaniczne implanty skutecznie zwiększają ludzkie zdolności. Dzięki medycznemu progresowi potrafimy dzisiaj wyostrzać zmysły lub je zastępować. Pokonujemy słabości ludzkiego ciała i zaczynamy oszukiwać samą śmierć! Biotechnologia intensywnie się rozwija...

To nie jest kolejna dystopia! Cyberpunk jest rzeczywistością!

Nie chcąc wzbudzać niepokoju zwykłych mas, a przede wszystkim starając się nie dopuścić do uznania twórców cyberpunku (pisarzy fantastyki naukowej) za Proroków… chodniki i ulice w naszych miastach muszą być popsute.

Tomasz 'Stary Wujek' Tytłak

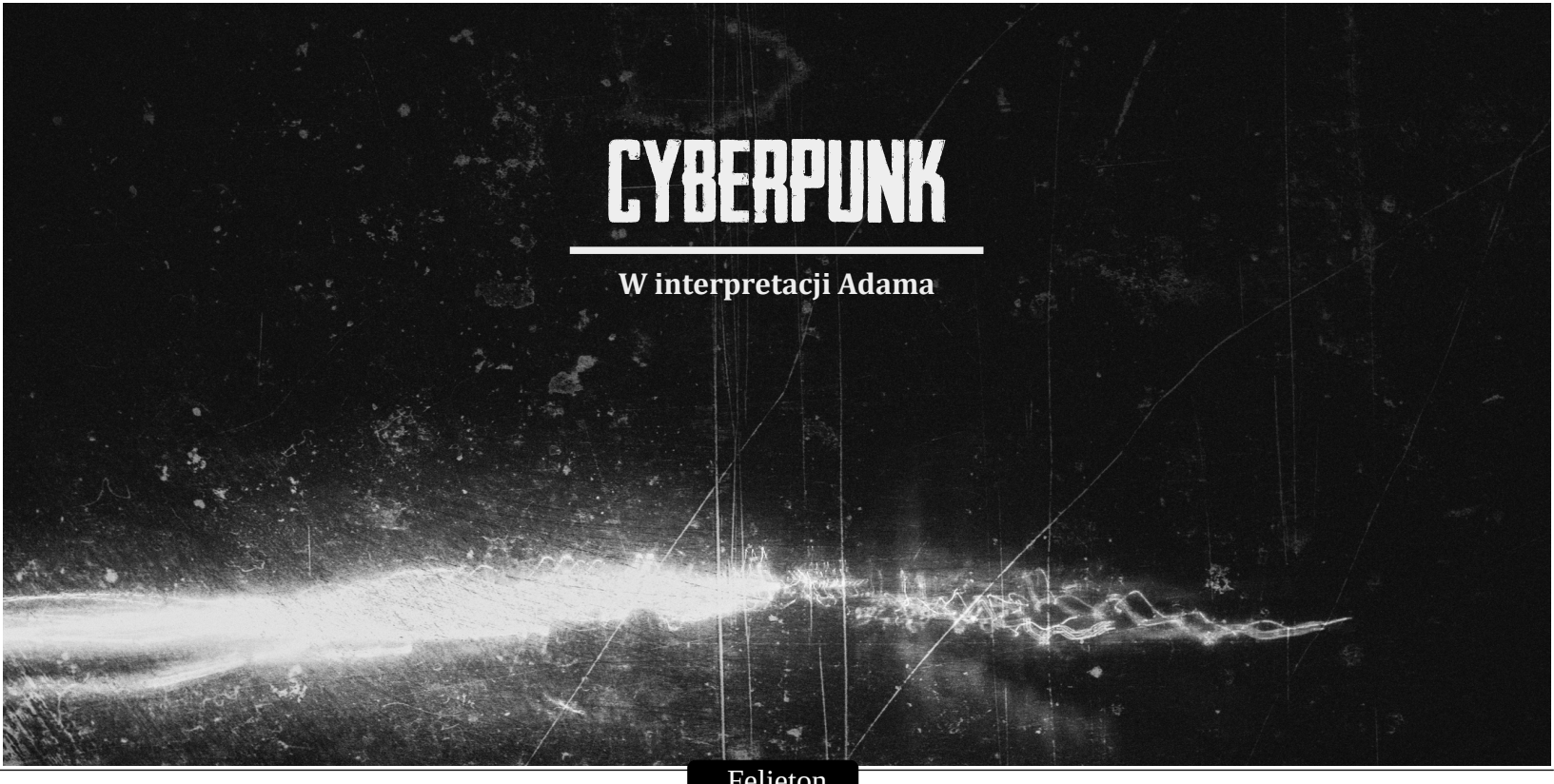

Felieton

Peleryna efektowności

Pamiętacie pelerynę Batmana? Ten bezużyteczny kawałek materiału, który prawdopodobnie plątałby się pod nogami i przeszkadzał w chodzeniu, nie dając kompletnie nic w zamian? Kiedy **Bill Finger** projektował postać Mrocznego Rycerza prawdopodobnie nie zastanawiał się nad takimi szczegółami, jak praktyczność stroju – po prawdzie, nie zastanawiano się wtedy nad wieloma rzeczami, bo nikt nie spodziewał się, że postać faceta przebierającego się w nietoperza przeżyje swojego twórcę.

Batman jest z nami już od ponad siedemdziesięciu lat i ma się dobrze, miał nawet swoje wersje z przeszłości – walczył z przestępcami na Dzikim Zachodzie, w wiktoriańskiej Anglii, czy chociażby w prehistorii (w tym przypadku był to nawet osobiście ten Bruce Wayne, którego znamy z XXI wieku). W ciągu tego czasu design jego kostiumu zmieniany był wielokrotnie, coś tam zabierano, coś tam dodawano, przemalowywano, przycinano, modelowano. W większości przypadków jednak owa nieszczęsna peleryna zostawała na miejscu.

Czemu? Odpowiedź jest prosta – bo wyglądała cholernie fajnie. Coś z rozmysłem dodanego tylko i wyłącznie z powodu swojej efektowności na dobre wprasowało się w daną postać. Co więcej – peleryna jest już niemal symbolem superbohatera.

Wiem, że Batman nie jest pierwszym bohaterem w pelerynie, ale mogę założyć się o posadę kierownika zmiany w Arkham, że dla sporej części osób to właśnie postać Mrocznego Rycerza jest głównym źródłem tego skojarzenia.

Hola, hola… Miałeś mówić o przyszłości, jej przewidywaniu i w życie wprowadzaniu,

nie tego oczekiwaliśmy

– zakrzykną co bardziej niecierpliwi. *Nie chcemy clickbaitowych nawiązań do superbohaterów!* – dodadzą potem i zaczną ostrzyć widły. Jednych i drugich pospiesznie uspokoję, że już przechodzę do wątku głównego.

Otóż podobnie jak Batman, tak i cyberpunk, główny bohater mojej dzisiejszej historii, jest zlepkiem wszystkiego co w kulturze fajne. Biorąc podstawy mniej lub bardziej trafnej wizji niedalekiej przyszłości za podstawę, podoklejano jej w różnych miejscach absurdalne peleryny, zwracając większą uwagę na stylistyczną spójność i zabawę płynącą z oglądania tego w ruchu niż zastanawiając się, co z elementów składowych faktycznie ma sens. I taki potworek zbudowany z „fajnych" idei… przyjął się. Przyjął się na tyle, że wyszedł z kart książek, spomiędzy klatek filmów czy zer i jedynek w kodzie gier i na stałe zadomowił się w naszej rzeczywistości.

Przecież cyberpunk umarł! – powiedzą ci sami niecierpliwi ludzie z widłami. Ileż jest wydawanych takich prawdziwych, cyberpunkowych z krwi i kości opowieści w porównaniu z, na przykład, mało ambitnym space fantasy? – dodadzą, zapalając pochodnie. Częściowo przyznam im rację – cyberpunk czystej krwi dość szybko się wypalił – czego zresztą można było się spodziewać po tak hermetycznym, opartym de facto na wizji jednego czy dwóch autorów, gatunku. Nie jest już tak popularny. Jednakże gdzie nie spojrzeć, widzi się elementy wprost zaczerpnięte z dorobku mrocznej przyszłości – wszczepy, sztuczną inteligencję czy diaboliczne megakorporacje, w większości utrzymane w tonie zdefiniowanym przez **Gibsona** czy **Pondsmitha**. Widzi się je też odrywając oczy od ekranów wyjętych przecież wprost z rzeczonego świata smartfonów, powiem więcej – odkładając **Neuromancera** wcale nie wylogowujemy się ze świata cyberpunku. Bo cyberpunk nie umarł – on po prostu stał się rzeczywistością.

Gdzie moje latające samochody?

Dobra, dobra… Jakoś nie widzimy wokół siebie cyborgów, nie mamy wszczepów, a nagie androidy nie chronią naszych dusz przed hakerami! – powiedzą po raz kolejny malkontenci. Jeśli jednak rozejrzą się trochę bardziej, zapewne znajdą – bliżej lub dalej – kogoś z wszczepionym rozrusznikiem serca. W samej Polsce żyje ponad 100 000 osób wyposażonych w taki implant, a liczbę wszczepień szacuje się na 9500 rocznie. Od strony technicznej, to właściwie mały komputerek, często możliwy do zaprogramowania bezprzewodowo, równie dobrze dałoby się dokleić do niego odpowiednie komponenty i zainstalować na nim **Angry birds**. Cholera, miałem pisać o przyszłości, a powołuję się na angry birds…

Prawdziwy cyborg ma swoje wszczepy podpięte do układu nerwowego i wymieniające z nim informacje, więc twoje 100 000 osób z cudem techniki wszczepionym pod skórę to wymówka! – wzburzony tłum zacznie już potrząsać widłami. Na uspokojenie mogę jednak przytoczyć postać **Kevina Warwicka**, człowieka który robi dokładnie to, o czym mówią moi niecierpliwi czytelnicy. Powiem więcej – połączył on układy nerwowe swoje i swojej żony za pomocą sieci bezprzewodowej w założeniu robiąc przymiarki do stworzenia systemu swego rodzaju telepatii, która umożliwiałaby łączność z wybranką serca na odległość, bez używania dodatkowych interfejsów, z responsywnością szybszą niż myśl. Z punktu widzenia psychologii tak symbiotyczny związek byłby jednak lekko przerażający, więc nie polecam robić tego w domu. A przynajmniej nie mówcie, że nie ostrzegałem.

Kończąc temat cyborgów chciałbym jeszcze dodać o najbardziej chyba spektakularnej realizacji cyberpunkowej wizji, a mianowicie – o poruszających się protezach. Jeszcze kilka lat temu, kiedy zaczynałem cieszyć się tym tematem, protezy kończyn, które poruszały się same według instrukcji płynących z układu nerwowego, budziły wśród ludzi raczej niedowierzanie. Bo jak to tak, jakieś żelastwo ma wiedzieć, że chcę ruszyć ręką? Trend ten zmieniał się na tyle szybko, że dzisiaj większość ludzi, z którymi rozmawiam nie tylko nie twierdzi, że to niemożliwe, ale nawet jest świadoma, że takie rozwiązania już funkcjonują, tylko na razie z powodu bariery finansowej w przestrzeni niedostępnej zwykłemu zjadaczowi chleba. Cóż, na pocieszenie dodać można, że współczesne protezy nieruchome i tak wyglądają futurystycznie, ludzi z protezami podudzi nie dopuszcza się do sportów opartych na bieganiu na równi ze zdrowymi osobami nie dlatego, że nie mieliby szans, ale dlatego, że sprężysta, wytrzymała i nieboląca proteza może dawać przewagę porównywalną z dopingiem.

A technologia? Wirtualna rzeczywistość, mikroskopijne komputery, sztuczna inteligencja, latające samochody… – nieco nieśmiało podrzucą malkontenci. Nie mówią tego z pełną siłą i oburzeniem, bo ściągając ten tekst natknęli się na reklamę **PlayStation VR**, mocno niedoskonałego, cholernie drogiego, ale jednak produkowanego masowo zestawu do wirtualnej rzeczywistości. Muszą być też świadomi tego, że rolę cyberpunkowych cyberdeków – malutkich komputerów pozwalających netrunnerom w dowolnym miejscu podłączać się do sieci i włamywać się na serwery banków – w naszej rzeczywistości pełnią smartfony, tablety, netbooki, czy chociażby mikrokomputery pokroju **Raspberry Pi**.

Jeśli odrzucić czerstwą terminologię i fetysz hakowania, są dokładnie tym samym – szybkimi maszynami z dostępem do sieci i całym dobrodziejstwem komputera stacjonarnego, ale możliwymi do zabrania w podróż, włożenia do kieszeni, a czasami nawet – jak w przypadku **Intel Compute Card** – do portfela.

Osobnym tematem jest sztuczna inteligencja, która na przestrzeni ostatnich kilku lat rozwinęła się i upowszechniła w tak niewiarygodnym stopniu, że właściwie przestaliśmy ją zauważać. Oczywiście, nie mamy tak zwanej twardej AI, ale trzeba też odpowiedzieć sobie na pytanie, komu tak naprawdę byłaby ona potrzebna? Komputer, który myśli jak człowiek jest bowiem tak samo jak człowiek podatny na błędy poznawcze, zakłócenia, czy przeoczenia, a ogromna moc obliczeniowa i pobór energii, jakie byłyby potrzebne do uruchomienia takiego programu, sprawiają że używanie dokładnych symulacji ludzkiej inteligencji staje się praktycznie nieopłacalne. Do prześledzenia aktywności użytkownika i przewidzenia, jakie produkty najlepiej mu zareklamować, wystarcz przecież AI miękka jak jajko gotowane piętnaście sekund. Do pozwolenia mu wygrać w strzelankę, ale tak, żeby wyzwanie było odpowiednio wyśrubowane, też nie potrzeba wirtualnego Einsteina.

Asystenci pokroju **Google Now** czy **Siri** zwyczajnie powinni być głupsi od użytkownika, nikt bowiem nie chce, żeby kiedy każe sprawdzić ceny czipsów, wyszukiwarka mówiła mu, że od tego można dostać raka. Wszystko to jak i jeszcze więcej – *algorytmy youtube, systemy medyczne, analizatory danych, OCR, systemy rozpoznawania głosu* – to przykłady mieszczące się w szerokiej definicji sztucznej inteligencji, czasami sprawdzającej się w swojej piaskownicy dużo lepiej niż ludzie.

I tylko latających samochodów żal. To zabawne, że podczas gdy wszystkie te nieprawdopodobne przecież cuda rozwijają się w najlepsze, tak oczywiste, wydawałoby się, rozwiązanie, jak latające samochody wciąż jest w sferze planów. W najbliższym czasie coś może się jednak zmienić – znienawidzony przez taksówkarzy moloch **Uber** planuje wprowadzić taksówkę nie tylko latającą, ale i autonomiczną. Czy się uda? Cóż, ciężko powiedzieć, ale skoro statki kosmiczne mogą być i latające, I bezzałogowe to czemu nie samochody?

Hamulec postępu

Wszystko pięknie, ale do cyberpunku nadal sporo nam brakuje! – warkną co bardziej agresywni. *Moja sztuczna siatkówka zamiast obrazów widzi jakieś dziwne kropki* – stwierdzą co bardziej niecierpliwi, którzy zamiast czytać dalej, już rzucili się na medyczno-techniczne nowinki. I oczywiście będę musiał przyznać im rację – mimo wszystko fantastyka naukowa wciąż prześciga prawdziwą naukę, z drugiej jednak strony, gdyby było inaczej, nazywałaby się fikcją a nie fantastyką, czyż nie? I proszę, niech puryści gatunkowi zamilkną i nie wyliczają różnic pomiędzy fiction, fantasy a *who cares*, bo są jeszcze gorsi niż tamci malkontenci z widłami.

Żeby jednak dojść do tego, co zatrzymuje nas wpół drogi ku nieuchronnym wojnom cyborgów, sprawę należałoby pokroić na małe kawałeczki i dokonać analizy każdego z nich. Opóźnianie postępu jest bowiem zjawiskiem tak wielowymiarowym jak sam postęp i stoją za nim czynniki natury ekonomicznej, społecznej, organizacyjnej czy nawet etycznej. Należy też wziąć pod uwagę, że rozwój człowieka nie ma charakteru ewolucyjnego – nie jest losowym, samorzutnym procesem, który ma załatwiać doraźne potrzeby. Jest ukierunkowany i częstokroć potwornie drogi.

Żeby więc zrozumieć, dlaczego jakaś gałąź technologii poszła w innym kierunku niż przewidziała futurologia, czy w ogóle uschła, należy najpierw zadać sobie pytanie, czy postulowany rozwój był komukolwiek potrzebny.

Problem poruszałem już wspominając o twardej AI, więc opuśćcie widły - nie zamierzam się powtarzać. Myślę jednak, że to właśnie ten aspekt – potencjalnej użyteczności i opłacalności zmian - jest w analizie tego, jak daleko nam do cyberpunku najważniejszy. Cofając się bowiem znowu do problemu peleryny Batmana – cała masa rozwiązań forsowanych przez autorów książek czy gier jest niczym innym niż taką peleryną. Jedynie nie mającym racji bytu elementem estetyki, błyskotką, która ma budować klimat, ale poza tym wydaje się kompletnie bezużyteczna. Weźmy na przykład najeżone elektroniką cyberpunkowe ubrania, z ekranami wszytymi w klapy marynarek czy maleńkimi mikrofonami w mankietach. O ile doskonale pasje to do wizji technokratycznego świata, w którym ludzka organiczność jest coraz bardziej tłumiona przez krzemową syntetyczność, właściwie do czego takie gadżety miałyby się przydać? Co ciekawe wizja przyszłości, w której elektronika będzie w ubraniach nie jest tylko domeną fantastów – **Ray Kurzweil** w swojej książce o technologicznej osobliwości przewidywał, że w drugiej dekadzie XXI wieku smart clothes będą tak popularne jak obecnie smartfony.

*Ignorancie! Książka **Kurzweila** o osobliwości to taka sama fantastyka jak Star Wars!* – zakrzykną oburzeni, a ja… w sumie przyznam im rację. Autor jednak stara się swoje nazbyt odważne przewidywania popierać realnie naukowymi danymi i sam zajmuje się rozwojem sztucznej inteligencji, więc powiedzmy, że usprawiedliwionym jest traktowanie jego mrzonek nieco bardziej poważnie niż mrzonek **Williama Gibsona.** Nawiasem mówiąc, książka do której się odnoszę to *"Nadchodzi osobliwość"* i serdecznie polecam ją ze względu na to, że mimo wszystko cholernie stymuluje wyobraźnię.

Generalnie może się więc okazać, że w pewnym momencie obudzimy się w świecie tak bardzo cyberpunkowym, jak to tylko możliwe, a nasz ewentualny dysonans poznawczy i pytanie Dlaczego w *"Blade Runnerze"* wyglądało to jakoś fajniej?

Wynikał będzie z prostego faktu, że w realnym świecie niektóre elementy fantastyki po prostu są niepotrzebne. Nie sprawdzają się i nie rozwiną się nie dlatego, że jesteśmy zacofani albo że fizyka nie pozwala na ich zaistnienie, ale dlatego, że

nikomu nie opłaca się w nie inwestować.

Wróćmy jednak do tematu – załóżmy że coś jest nie tylko opłacalne i potencjalnie możliwe do osiągnięcia, ale jest dla świata wręcz niezbędne. I nie mam tutaj na myśli kolejnych generacji **iPhone'ów** czy **Kindle'ów**, a wynalazki ratujące ludziom życie i zdrowie. Implanty, które mogłyby realnie przywrócić ludziom wzrok a nie dać jego namiastkę, terapia genowa, która mogłaby wyeliminować wiele potencjalnie śmiertelnych chorób, medycyna regeneracyjna przedłużająca nam życie tak bardzo, że dotrwamy premiery **Half Life'a 3**. We wszystkich tych obszarach wciąż prowadzone są badania, ale częstokroć niewystarczająco szybkie. Prowadzi to do dość gwałtownego rozwoju rozwiązań, które próbują nieco obejść główny nurt nauki, jak chociażby terapia komórkami macierzystymi w chorobach neurodegeneracyjnych. W przypadku tej dość obiecującej, ale nieudowodnionej przez naukę metody powstała cała masa klinik oferujących nie do końca przetestowane, kosztujące kosmiczne sumy terapie, usprawiedliwiająca swoje nienaukowe podejście stwierdzeniem, że jeśli jest jakakolwiek szansa, że metoda leczenia okaże się skuteczna, ludzie, których można by uratować, nie mają czasu na czekanie aż zostanie ona odpowiednio opisana a jej skuteczność udowodniona ponad wszelką wątpliwość.

Co więc spowalnia nasz rozwój w tych obszarach, w których przecież pośpiech jest tak ważny? Przede wszystkim sama metodyka badań naukowych - wszystko, co zostaje odkryte w medycynie, musi być bardzo dokładnie przetestowane, opisane, poddane dyskusji.

Oczywiście każda z tych czynności kosztuje fortunę, a suma fortun często okazuje się na tyle duża, że potrafi znacznie spowolnić prace nad rozwojem nowoczesnych metod terapii. Jest to szczególnie bolesne w przypadku chorób rzadkich – takich, w przypadku których potencjalne zyski ze znalezienia lekarstwa nie są na tyle duże, żeby ekonomicznie uzasadniać przyspieszenie prac nad poszukiwaniem remedium. Okrutne? Być może. Ale gdyby zdrowie nie było towarem, pewnie nadal leczylibyśmy się upustami krwi, bo medycyny nie miałby kto rozwijać – idealiści niestety też muszą coś jeść.

Drugim problemem – i zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo kontrowersyjne będzie wypunktowanie tego jako problemu – bywają komisje bioetyczne. *Gdyby nie komisje bioetyczne, doktor **Mengele**…* – zaczną niektórzy, ale niech nie kończą, proszę. Czasami naprawdę mam wrażenie, że doktor **Mengele** jest jednym z najukochańszych bohaterów popkultury, bo ludzi mających często kontrowersyjne – a więc wymagające szerszej dyskusji – pomysły porównuje się do niego z taką łatwością, z jaką w Polsce przykleja się łatkę lewaka osobie, która po prostu nie wierzy w płaską Ziemię i ogólnoświatowy spisek Żydów. Problem jest taki, że przyklejający – wyjątkowo w tym kontekście szkaradną – gębę często nie mają pojęcia, jak mocne są zarzuty, które stawiają przywołując nazwisko nazistowskiego zbrodniarza. Zwłaszcza w kontekście realnych, prowadzonych w dobrej wierze badań naukowych, które podejmują ogromne ryzyko.

Nie chcę żeby zrozumieć mnie źle, nie krytykuje instytucji komisji bioetycznych jako takich. Istnieje bardzo wiele eksperymentów naukowych, które mimo iż dostarczyły niezwykle wartościowych czy po prostu ciekawych danych, nie powinny zostać przeprowadzone w takiej formie, w jakiej zostały. Żeby nie szukać zbyt odległych popkulturze czy zbyt drastycznych przykładów – gdyby nad słynnym doświadczeniem więziennym **Philipa Zimbardo** etycy pochylili się trochę bardziej, może w końcowym etapie trochę mniej przypominałoby jakąś dziwną sadystyczną grę, a trochę bardziej to, czym w istocie miało być.

Czasami jednak kontrowersje etyczne potrafią na bardzo długo zablokować całą dziedzinę medycyny.

Tak było na przykład z terapią genową, która w momencie, kiedy okazało się, że może wywołać białaczkę – w dodatku większość badań prowadzona była na dzieciach – znalazła się na długi czas na cenzurowanym całego świata. I nie twierdzę tutaj, że wywoływanie nowotworów krwi u dzieci jest w porządku, twierdzę jedynie, że być może dało się prowadzić badania w nieco inny, minimalizujący ryzyko sposób, co ze względu na kontrowersje dotyczące poprzednich porażek nie było możliwe. Bo przecież żadna klinika nie rozpocznie badań, które gazety bezrefleksyjnie firmować będą nazwiskiem **Mengele**.

Wróćmy jednak do kwestii mniej drastycznych. Nie wszystkie technologie wpływają w znaczący sposób na ciało człowieka, czyż nie? Niektóre nawet nie tykają go najmniejszym palcem swoich wirtualnych dłoni. I mimo iż mówiłem już o twardej AI jako generalnie nieopłacalnej ciekawostce, wydaje mi się, że jednak w końcu zostanie stworzona, tak jak człowiek wysłany został na księżyc, mimo że za ogromnymi kosztami nie przyszedł żaden realny zysk. Myślę natomiast, iż zdarzy się to dużo później niż by mogło, nie tylko z powodu małej praktyczności pomysłu, a niewielkiej ilości ludzi na tyle kompetentnych, aby takiego dzieła dokonać.

Oczywiście mówię tutaj o twardej AI w rozumieniu AI maksymalnie przypominającej człowieka. Takiej, która byłaby w stanie przejść **test Turinga** we wszystkich jego odmianach. Sztuczna inteligencja, która po prostu byłaby wszechstronna i zdolna do rozwiązywania abstrakcyjnych problemów jest prawdopodobnie kwestią przyszłości raczej bliższej niż dalszej. Żeby jednak stworzyć sztucznego człowieka, potrzeba czegoś więcej niż skomplikowanych algorytmów przetwarzania informacji. Jeśli bowiem program komputerowy miałby nas dokładnie odwzorowywać, jego projektowaniem powinni zajmować się w takim samym stopniu osoby znające się na sztucznej inteligencji jak i te znające się na inteligencji całkiem realnej. Czy taka współpraca jest możliwa? Oczywiście. Czy ma miejsce? Moim zdaniem, dziś w zbyt małym zakresie.

Kwestią idealnie ilustrującą to jak bardzo ślepą uliczką jest okopywanie się na swoich stanowiskach różnego rodzaju specjalistów jest dla mnie jedno z najpopularniejszych rozwiązań paradoksu **Moraveca**, a mianowicie to angażujące w problem teorię ewolucji. Niepotrzebnie skomplikowany pomysł, że matematykę łatwiej jest zaprogramować niż, na przykład, nawigację w przestrzeni, bo ta druga umiejętność ewoluowała znacznie dłużej, wydaje mi się przykładem kompletnego niezrozumienia czym właściwie jest ewolucja. Zwłaszcza, że rozwiązanie problemu, który w gruncie rzeczy wcale nie jest taki paradoksalny, jest znacznie prostsze – głównym sposobem przetwarzania danych przez komputer są obliczenia naukowe, dlatego łatwiejsze będzie zaprogramowanie obliczania całek niż poruszania się po pokoju – tutaj bowiem trzeba będzie użyć języka matematyki do złożonego opisu intuicyjnej umiejętności. Gdybyśmy pisali program uruchamiany na ludzkim mózgu, sytuacja byłaby pewnie odwrotna – nawigacja poszłaby stosunkowo łatwo, a do całek należałoby zaprogramować cały system operacyjny na tyle złożony, że byłby w stanie stworzyć abstrakcyjne pojęcie liczby, a potem jeszcze zupełnie nieintuicyjnie operować na takich konstruktach.

Zostaw już ten technobełkot! Miał być cyberpunk, miała być ponura przyszłość, miała być peleryna Batmana! – wrzasną wreszcie niecierpliwi… a ja po raz kolejny przyznam im rację, bo artykuł rozciągnął się już do absurdalnych rozmiarów i czas najwyższy zmierzać do konkluzji. Punktu kulminacyjnego. Tego, co jest dla mnie najsmaczniejszym składnikiem cyberpunkowego dania.

No future

Otóż pozostaje pytanie, czy nawet jeśli te wszystkie wspaniałe wynalazki zadomowią się w naszym życiu, będziemy mogli uznać, że mieszkamy w prawdziwie cyberpunkowym świecie? I czy naprawdę chcielibyśmy w takim świecie mieszkać?

Otóż termin cyberpunk składa się z dwóch członów. I o ile dość obszernie wypowiedziałem się na temat tego pierwszego, pozostaje jeszcze odniesienie się do punku w całej rozciągłości. Bo też cyberpunk nie jest jedynie, mniej lub bardziej zakotwiczoną w realności, fantazją na temat rozwoju technologii i integracji jej z biologią człowieka. Nie jest hołdem **transhumanizmu** w jego najbardziej prostackim, węglowo-krzemowym wydaniu. Jest natomiast projekcją naszych romantycznych tęsknot w niezbyt odległą przyszłość. To dlatego w książkach, grach czy filmach nie widzimy znudzonego życiem nastolatka gapiącego się w ekran komórki, a tegoż samego nastolatka z giwerą w dłoni – chromowaną, a jakże! – w skórzanej kurtce, z pieśnią na ustach walczącego z bezduszną korporacją. To dlatego nasz cyberpunkowy haker nie jest facetem w garniturze popijającym sojowe latte znad ekranu laptopa, a gibsonowskim Case'em, okaleczonym, wykorzystywanym, który jedyne ukojenie znajduje w sieci, uwodzonym przez tajemniczą sztuczną inteligencję – obowiązkowo, na końcu wypowiadającą jakąś Wielką Prawdę na temat tego, jak bezwartościowa jest rasa ludzka.

Cyberpunk jest rzutowaną w przyszłość subkulturą punkową, to tęsknota za czasami, kiedy ta dekadencja i mizantropia, miały jeszcze swój urok. I chociaż powtarzać można bez końca, że punk nie umarł, to… jest z nim źle.

Po cóż bowiem dzisiejszemu społeczeństwu marzenie o wolności, o romantycznej walce o wyższe idee, o życiu na krawędzi, skoro w prawdziwym świecie jesteśmy gotowi przehandlować to za bezpieczeństwo, wygodę i kartę multisport.

I choć w sztuce cyberpunkowej, którą niejeden z nas szczerze kocha, megakorporacje przedstawiane są mniej więcej tak negatywnie, jak **Baal** w Biblii, to w prawdziwym życiu chętniej stajemy właśnie po stronie korporacji niż tych, którzy buntują się przeciwko ich wszechmocy i monopolowi.

Fajnie jest patrzeć jak ktoś zmaga się z molochem zza szybki w swoim biurze. Fajnie jest powiedzieć: Och, kiedyś taki byłem!, a potem wrócić do spłacania kredytu na mieszkanie. A przecież miało być na krawędzi, przecież miała być wolność, przecież miało nie być przyszłości, a więc i żadnych zobowiązań. W realnym świecie wszystko, co wydaje się rozsądne, jest sprzeczne z cyberpunkiem. I chociaż nasze problemy są często podobne, chociaż boimy się korporacji, opresyjnych rządów, ograniczania wolności, czasem nawet ich nienawidzimy, to nasza dystopia znacząco różni się od tej książkowej. Jest jakaś taka cichsza, mniej agresywna, mniej heroiczna. Odpowiedzialność jest w niej bardziej w cenie niż idealizm.

Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że zostało w nas coś z punkowego romantyzmu. Że czasami czujemy tęsknotę za czymś bardziej prostym, za wolnością, że czasami obijamy się o pręty swojej złotej klatki, że chcielibyśmy przeżyć jeszcze tą jedną, ostatnią wielką przygodę. Albo że w pewne szczególne dni w roku, kiedy noc zapada późno, a my jesteśmy z daleka od domu, w jakimś turystycznym miasteczku, które czterdzieści lat temu chciało być fajne i od tamtego czasu zapomniało wyrywać kartki z kalendarza, wsiąkamy w neonowy kicz tego miejsca i czujemy się jakbyśmy tam byli. Na ulicy **NeoTokio** ścigając *Władcę Marionetek*. Albo jakbyśmy znowu mieli szesnaście lat, albo jakbyśmy, angażując w to całą swoją osobowość, toczyli walkę o jakąś bezsensowną, z góry przegraną sprawę.

Jesteśmy też w pewnym stopniu zagubieni w zbyt skomplikowanym świecie. Świecie który, wygląda na to, coraz bardziej przyspiesza i sprawia, że dużo szybciej niż kiedyś stajemy się *„tym starszym"* pokoleniem, które nie rozumie, jak działa współczesność. Warto zwrócić uwagę, że jeśli ktoś miał tego pecha urodzić się w X stuleciu, prawdopodobnie od jego narodzin do śmierci zmieniło się bardzo niewiele.

Owszem, politycznie być może przetasowania były znaczne, ale generalnie przychodził na taki świat, jaki opuszczał. W wieku XX sytuacja wyglądała już znacznie ciekawiej, bo Ziemia sprzed wojny, sprzed bomby atomowej, sprzed lądowania na księżycu, sprzed rozwoju komputerów, sprzed internetu, diametralnie różniła się od tego, do czego trzeba było się dostosować później. Wiek XXI to już kompletna jazda bez trzymanki, nie minęła jeszcze nawet połowa, a już od **Nokii 3310** – tak, ten zabytek miał premierę końcem 2000 roku – dotarliśmy do **iPhone'a X**, od **Diablo II** do **Kosiarza dusz**, czy wreszcie: od żałośnie powolnych i drogich kablowych łączy internetowych do uzależnienia od sieci, która dosłownie wypełnia powietrze. I tak, choć boimy się do tego przyznać, jesteśmy w tym zagubieni. Dokładnie tak jak bohaterowie cyberpunkowych historii.

Można więc bez zbytniego ryzyka stwierdzić, że tak, żyjemy już u progu cyberpunku. Trochę innego niż się spodziewaliśmy, ale równie – a może nawet jeszcze bardziej – ciekawego. Co zaś się tyczy tego klasycznego, wojującego z systemem, błyszczącego chromem, flirtującego z nami za pośrednictwem groteskowo seksualizowanych androidów – nadal go potrzebujemy. Mimo kapitalistycznego pragmatyzmu naszych czasów, wciąż jesteśmy tymi samymi karmiącymi się dopaminą dzieciakami, które chciałyby żyć na krawędzi. I mimo iż lubimy to tylko w bardzo kontrolowanych warunkach, na ekranie komputera, telewizora, czy na kartach książki, to prawdopodobnie światy fantazji i fikcji z czasem coraz bardziej będą się przenikać.

Jesteś niepokojąco optymistyczny jak na siebie, znalazłeś sens w życiu? – zapytają, dla odmiany z uprzejmą ciekawością ci, którym najbardziej nie chciało się czytać tego artykułu, a znają mnie choć odrobinę. Specjalnie dla was zakończę więc cytatem z okładki podręcznika do Cyberpunka 2020. Otóż: ***Przyszłość jest cholernie ponura*. Dziękuję za uwagę, śpijcie dobrze.**

Adam Bełda
Autor książki „Edgar"
wydawnictwa Novae Res

PORADNIA G

Niestety nie da się olać systemu

"co to jest prawda?
wszyscy zdechniemy.
co jest świętością? mieć czyste ręce.
lecz zanim brudni pójdziemy w ziemię,
może poezji więcej?"

Pomimo wszystko, punk żyje. Żyje w nas. I w Poradni G. Hasło No Future pasuje do postapo, ale paradoksalnie w nowym albumie "Niestety nie da się olać systemu" Poradni G widzę przyszłość. Przyszłość świetlaną, bo punk, w przeciwieństwie do naszej cywilizacji, rozwija się w dobrą stronę.

Nowy zespół, starzy wyjadacze.

Przeszłość zawsze zostawia ślad, czy jednak tu i teraz nie jest najważniejsze? Z tej perspektywy warto spojrzeć na alternatywną, punkową kapelę i jej debiutancki album "Niestety nie da się olać systemu". W tytule zawarto przesłanie całej płyty. Brakuje tylko dodatku w postaci słów "Choć próbować warto". Chociaż, może to właśnie pomiędzy kolejnymi numerami kryją się te trzy słowa.

Cała płyta to tak naprawdę nostalgiczna podróż pełna złości. Trwająca 33 minuty podróż przez życie. Podróż przez świat, który nie jest naszym światem. Nie tego oczekiwaliśmy. System jest mocniejszy niż kiedykolwiek, media zrobiły z punku mainstream. Nasze dzieci chodzą do systemowych szkół. Wielobarwni znajomi, którzy niegdyś skakali po dachach, dziś pracują w korporacjach.

Świat się zmienił, ale pozostał taki sam. Nie było żadnej rewolucji. Sami wskoczyliśmy w trybiki systemu. Jednakże w duszach członków zespołu i generacji "nic" cały czas gra punk. Złość na świat nigdy nie przeszła, a jedynie ugrzęzła pod nawałem zwykłego życia i tonami produkowanych codziennie śmieci.

Na płycie ta złość z trudem odkopuje się spod ton syfu.

"Niestety nie da się olać systemu", to 11 utworów wypełnionych prawdziwie punkowym klimatem. Choć niejednokrotnie zahacza o ska i melodyczny pop punk ze słonecznej Kalifornii, to energia i teksty biją magią przepełnionej gniewem muzyki. Żaden inny gatunek tak dobrze nie komentował rzeczywistości, jak punk. I choć w jego DNA jest walka z polityką, to sam zawsze był nią przepełniony. Tak też jest z Poradnią G i jej społecznymi tekstami. Tradycyjny dla punku antykorporacjonizm ("Bogato wierszy w Excelu") to nie wszystko. Są także tematy nieoczywiste, klonowanie ludzi, czy zwykła ludzka miłość i zazdrość. W całym albumie można dostrzec też nawiązania do chrześcijaństwa, oraz samej postaci i wzoru jaki wedle Nowego Testamentu zostawił dla nas Jezus. Interpretacje mogą niektórych wierzących przyprawić o palpitację serca, jednak trudno opisom Hoffmana nie przyznać trafności. "O Jezu", utwór rozpoczynający płytę, jest doskonałym przykładem.

**Na potrzeby tekstu, wszystkie „osobowości" Michała Hoffmana [Afrojax] potraktowano jak różne osoby. Mamy nadzieję, że zgodnie z jego wolą.*

Teksty *Michała Hoffmana* i charyzmatyczny wokal *Eliasza Zygielbojma* to świetna mieszanka, tworząca solidny filar Poradni G. Drugim jest warstwa instrumentalna, łącząca tradycyjne dla punku trzy akordy i darcie ryja, z doświadczeniami wyniesionymi przez skład z poprzednich zespołów. Wychodzi to niezwykle dobrze jak na standardy gatunku. Sekcja rytmiczna zawsze trzyma rewelacyjny poziom. Warta uwagi jest też procedura nagrania płyty. "Setka" utrwaliła prawdziwą energię zespołu. Rezygnacja z nadmiernej obróbki i dopieszczania dźwięku była dobrą decyzją.

"patrzę na prawo patrzę na lewo jeśli mogę służyć dobrą radą to spierdalaj na drzewo"

Płyta swoim klimatem budzi odruchowe skojarzenia z ostatnią (oby nie) płytą Cool Kids Of Death. Ten sam intensywny zapach nostalgii za złością, połączony z poszukiwaniem nowej drogi. I dla mnie, tak samo udany. Wydany nakładem Thin Man Records krążek, to muzyka od fanów dla fanów. Kroplówka dla umierającego punka. Cholernie dobra kroplówka, świadectwo, że punk, zamiast umierać, powoli zdrowieje.

Do albumu podszedłem całkowicie subiektywnie, był dla mnie jak odpalenie pierwszego "Fallouta" po latach, albo przypomnienie ulubionego filmu czy książki. Jak słowa *" War, war never changes "* dla zjadacza postapokalipsy, tak dla każdego z poezją wkurzonej muzyki w sercu, ta płyta będzie nostalgicznym powrotem do przeszłości. Wyciągnięcie środkowego palca w stronę społeczeństwa przy kolejnej linijce tekstu, wyciśnie na obliczu fana szczery uśmiech i łzę prawdziwie gniewnej radości.

"Płyta, która pomoże Wam przetrwać kolejny dzień w szkole, w pracy, w domu, w okowach systemu."

O dziwo, notka wydawnictwa płytowego nie mija się z prawdą. To dobrze, czy źle?

Kacper'Rodrrik'Kandora

Felieton

APOLLO DAJE ZNAK

Czy można poznać przyszłość? Zdania są podzielone. Zależy to głównie od rodzaju pytania. Czy warto?

Edyp - który zrobił wszystko, by przepowiednia się nie spełniła, i właśnie dlatego się spełniła – z pewnością by się nie zgodził. Jednak pokusie przeniknięcia zasłony za którą kryje się przyszłość trudno się oprzeć. Nie wszyscy chcą wiedzieć co ich (lub nas) czeka , ale liczba tych, którzy wierzą, że taka wiedza da im sławę, pieniądze i władzę jest na tyle duża, że młynek wciąż się kręci.

Tekst o antycznym wróżbiarstwie w numerze poświęconym futurologii?

Dlaczego nie? Są analogie. Skojarzenia to przekleństwo – jak mówią, więc na własną odpowiedzialność.

Symbolicznym potwierdzeniem znaczenia jakie starożytni Grecy przywiązywali do przewidywania przyszłości jest opowieść o powstaniu wyroczni Apollina w Delfach, najważniejszego ośrodka (nomen omen, jak się zaraz okaże) wróżbiarstwa w antycznym świecie. Zgodnie z mitem, Zeus miał wypuścić z dwóch krańców świata dwa orły, a miejsce ich spotkania wyznaczyło jej lokalizację. Pępek świata! Rozumiany jak najbardziej dosłownie, upamiętniony rzeźbionym kamieniem.

Petenci ze wszystkich stron świata przybywali, oczyszczali się w świętym źródle Kastalia, składali ofiary i nocowali, licząc na wieszcze sny. Kluczowe pytanie, często w postaci alternatywy, przedstawiano jednej z Pytii siedzącej na trójnogu nad aktywną tektonicznie szczeliną, z której ulatniały się oszałamiające opary. Początkowo, według Diodora Sycylijskiego, kapłankami były młode dziewice. Gdy jedna z nich stała się ofiarą gwałtu, role Pytii powierzano kobietom bardziej dojrzałym.

Wtajemniczeni kapłani nadawali mamrotaniu ostateczną, „artystyczną" formę, przerzucając w miarę możliwości na penitenta interpretację wypowiedzi. Znaków interpunkcyjnych nie znano, więc uzyskanie pożądanego efektu, w którym wyrocznia zawsze miała rację nie wymagało szczególnego wyrafinowania.

„Uwolnić nie zabić" – najczęściej podawany przykład, doskonale ilustruje stosowaną technikę. Stosownie do akcentu przy czytaniu, czyli postawienia przecinka, zmienia się diametralnie sens wypowiedzi. Zalecenie – „uwolnić, nie zabić" jest przeciwstawne „uwolnić nie, zabić". Jeśli z zastosowania się do rad wyroczni wyniknęło coś złego, to klient najwyraźniej nie umiał czytać ze zrozumieniem.

Elementu racjonalnej kalkulacji nie można lekceważyć.

Szeroka sieć kontaktów i bogactwo ułatwiały wyroczni dostęp do rzetelnej informacji. Paradoksalnie największa wpadka, blamaż, kompromitacja, która na długo podważyła reputację Delf, wynikała z takiej kalkulacji. Na zdrowy rozum nikt nie obstawiłby sukcesu skłóconych greckich poleis w konflikcie z perskim królem królów. Przecież koalicja karaibskich wysepek nie może wygrać ze Stanami Zjednoczonymi. A jednak… czasem najrozsądniejsza prognoza się nie sprawdza.

„Wróżbita powinien znajdować się w mocy wodza, a nie wódz w mocy wróżbity."

Cytat z Platona może być dobrym wstępem do ważnego pytania. Czy ówcześni penitenci wierzyli we wróżby? Należy przyjąć, że tak, ale mieli do nich specyficzny – patrząc z naszego punktu widzenia – stosunek. Bogowie byli potężni, obowiązkiem każdego polityka i dowódcy było zapewnienie ich poparcia dla planowanych działań, było to wręcz warunkiem powodzenia. Przy okazji morale podwładnych rosło, a wraz z nim szanse śmiałka.

W Rzymie inauguracji dokonywali (jakżeby inaczej) augurowie. Wróżenie z lotu ptaków, czym się pierwotnie zajmowali, było dużą sztuką, byle kto nie mógł się nim zajmować, stąd obowiązywała zasada kooptacji do tego kolegium. Później augurowie przerzucili się na kury (zachowanie nielotów było bardziej przewidywalne i podatne na manipulacje), a kooptację zastąpiono wyborami. Tak czy owak, interpretacje wróżb pozostawiano politykom, **oni lepiej wiedzieli jak ma być.**

Żaden z greckich czy rzymskich bogów nie był wszechwiedzący ani wszechmocny, więc można było się z nimi układać, zaproponować lepszą transakcję, a nawet wywierać presję. Powtarzanie wróżby do czasu uzyskania pożądanej odpowiedzi nie uchodziło za bezbożność.

Jeśli koszty – jak w wypadku Orneatów z Argolidy, którzy obiecali Apollinowi codzienną procesję i ofiary w razie zwycięstwa nad Sykiończykami – zaczynały przytłaczać, to można się było wykpić. W tym wypadku procesją i ofiarą nieustanną, bo wykonaną ze spiżu.

Czasem pożądana była negatywna odpowiedź. Aleksander Macedoński po pokonaniu Persów nie mógł kontynuować, pomimo sukcesów, kampanii wojennej w Indiach. W obliczu buntu wyczerpanego nieustannym wysiłkiem i klimatem wojska, przestraszonego dodatkowo odległością od rodzinnych stron, zarządził wróżby. Wyszły niepomyślnie, więc ogłosił powrót. Pozwoliło mu to zachować twarz, nie uległ żądaniom wojska tylko bogom, a to nie przynosiło mu ujmy.

Słyszeliście o teście Rorsarcha? Projekcyjna technika badania psychologicznego. Barwne plamy. Klient mówi co widzi, a wtajemniczony w interpretacyjne arkana psycholog odgaduje w czym problem, co komu w duszy gra. To już Chińczycy wiele wieków temu wynaleźli i zapisali w „I Ching". W komentarzach malowali słowami nieostre, wieloznaczne, przepełnione symboliką obrazy i opisy sytuacji. Trzeba je było fachowo dopasować do osobistego problemu i kontekstu.

Jak się ma wróżbiarstwo do współczesnej futurologii?

Cóż, trzeba brać przykład z dobrych antycznych wzorów, tematyka zobowiązuje do zachowania odpowiedniej formy. Nie zamierzam czytelnikowi nadmiernie ułatwiać zadania. Niech sobie sam dopowie, zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą wypełni luki, doda skojarzenia. Uprawdopodobni na własną rękę. I tylko do siebie ma pretensje w razie czego.

Jerzy 'Jerzy' Kubok

PO CO CI WIEDZIEĆ?

Felieton

Dlaczego tak bardzo chcemy znać przyszłość ?

Korzystamy z wróżbitów, bawimy się tarotem albo przeklinamy pod nosem, czytając horoskop, że nie jesteśmy rakiem, tylko pieprzonym baranem. Według **"Dziennika Gazeta Prawna"** do *"wróżek"* chodzi ponad 3 miliony Polaków, a rynek ezoteryczny osiąga z roku na rok coraz większy wzrost. Setki portali, rubryki w prasie, całe stacje telewizyjne i audycje radiowe poświęcone naszej przeszłości zaklętej w gwiazdach, ziemi czy naszym ciele. Nawet osoby sceptycznie nastawione do ezoteryki chcą poznać przyszłość, by móc na nią wpływać. Planujemy życie naszych dzieci - każdy jego etap - od szkół przez prezenty, przyjaciół, czas wolny, aż po miłość. Tylko po to, aby mieć poczucie kontroli? By pozbyć się wiercącego nocą w głowie pytania - *„Co będzie dalej ?"*

Przyszłość jednostek, to o wiele za mało. Chcemy wiedzieć co będzie z naszą cywilizacją. *Za 40 lat będziemy nieśmiertelni, za 10 znajdziemy lek na raka, a za 100 skolonizujemy Marsa.* Niby powszechnie wiadomo, że to tylko opium dla mas, mające zachęcić do klikania w coraz bardziej pseudonaukowe artykuły naszpikowane do granic możliwości reklamami. Jednak pomimo tego, artykuły te są czytane, omawiane i udostępniane. Tak samo dzieje się z przepowiedniami dotyczącymi końca świata, każda z nich zbiera swoje grono zwolenników, którzy za wszelką cenę próbują się na niego przygotować. Dlaczego? Czy tak bardzo boimy się niepewności i ryzyka, że wolimy wierzyć w kłamstwa i manipulacje?

Rynek clickbajtowych, pseudonaukowych artykułów, żerujących na ludzkich obawach i instynktach, to tak naprawdę nic. Prawdziwe pieniądze i prawdziwe rządy próbują przygotować się na przyszłość, próbują przekonać obywateli, że ją znają. Nie od dziś wiadomo, że najlepsza propaganda opiera się na "naukowo uzasadnionej", a przez to rzekomo nieuchronnej, pozbawionej alternatyw, wersji przyszłości. Polski Komitetem Prognoz *„Polska 2000 Plus",* amerykański komitet roku 2000 i jego następcy, angielskie *Manekind 2000,* korporacja **RAND**, która liczy ponad 1600 członków - wszyscy znają przyszłość, tyle że dla każdego jest inna i to ich wersja jest tą lepszą, sprawdzoną i przede wszystkim bezpieczną. Jesteśmy w stanie oddać głosy i wszystko inne tym, którzy zapewnią nam bezpieczną przyszłość. Bo kto by nie chciał **"bezpiecznej przyszłości"?**

Jeśli nasza przyszłość jest już wiadoma, zapisana w gwiazdach czy odkryta przez naukowców i polityków, jeśli już ją poznaliśmy i dalej poznajemy, to co zrobić z tą wiedzą? Jak ją wykorzystać? Skoro już wiemy, że *"pokolenie urodzone po roku 2000 będzie nieśmiertelne"* lub *"w przeciągu kilku najbliższych lat wybuchnie 3 wojna światowa",* a może - *"w tym miesiącu osiągniesz wielkie szczęście i w końcu poznasz miłość"*, to właściwie co zależy od ciebie? Skoro znaki na niebie (lub ziemi) pokazują, że idealną partnerką dla ciebie jest wysportowana blondynka, to co zrobisz ze swoim zamiłowaniem do rdzy? Skoro przeznaczenie jest już spisane, a za SMS w cenie taniego piwa już je znasz, ewentualnie przypadkiem, całkiem za darmo, usłyszysz w telewizji kolejny komunikat ekspertów o twojej przyszłości - to właściwie, co jest zależne od ciebie?

Wiem, powtarzam się - jeśli znasz swoją nieuchronną, niezmienną przyszłość, to, co w niej zależy od ciebie? Skoro przyszłość odkrył już ktoś inny, należy do gwiazd, traw, kart czy *"losu"*, to czy twoje życie należy do ciebie?

Futurologia jest tylko spekulatywną socjologią przyszłości, powinniśmy pamiętać, że jedyną sprawdzoną metodą poznania tego co będzie jest ciąg przyczynowo skutkowy, ciąg kroków, które każdy z nas robi dzień po dniu. Jeśli oddamy nasze nogi tanim wróżbitom, którzy bazując na swojej charyzmie, zarabiają ogromne sumy, czy finansowanym z budżetu naukowcom o niejasnych intencjach, ewentualnie astralnym siłom, których, jeśli istnieją, nie jesteśmy w stanie zrozumieć, to nasze kroki nie będą już wyznaczane przez nas. Oddamy się w dobrowolną niewolę.

Oddamy naszą przyszłość innym, niewoląc swój umysł, co może być jeszcze gorsze, niż niewola ciała. Chcesz poznać przyszłość czytelniku? Mam ją dla Ciebie. W gratisie otrzymasz przepowiednię bez wysyłania SMS-ów pod trefny numer. Bez ściemy i numerów.

Kiedyś umrzesz.

Reszta zależy tylko od ciebie.

Kacper'Rodrrik'Kandora

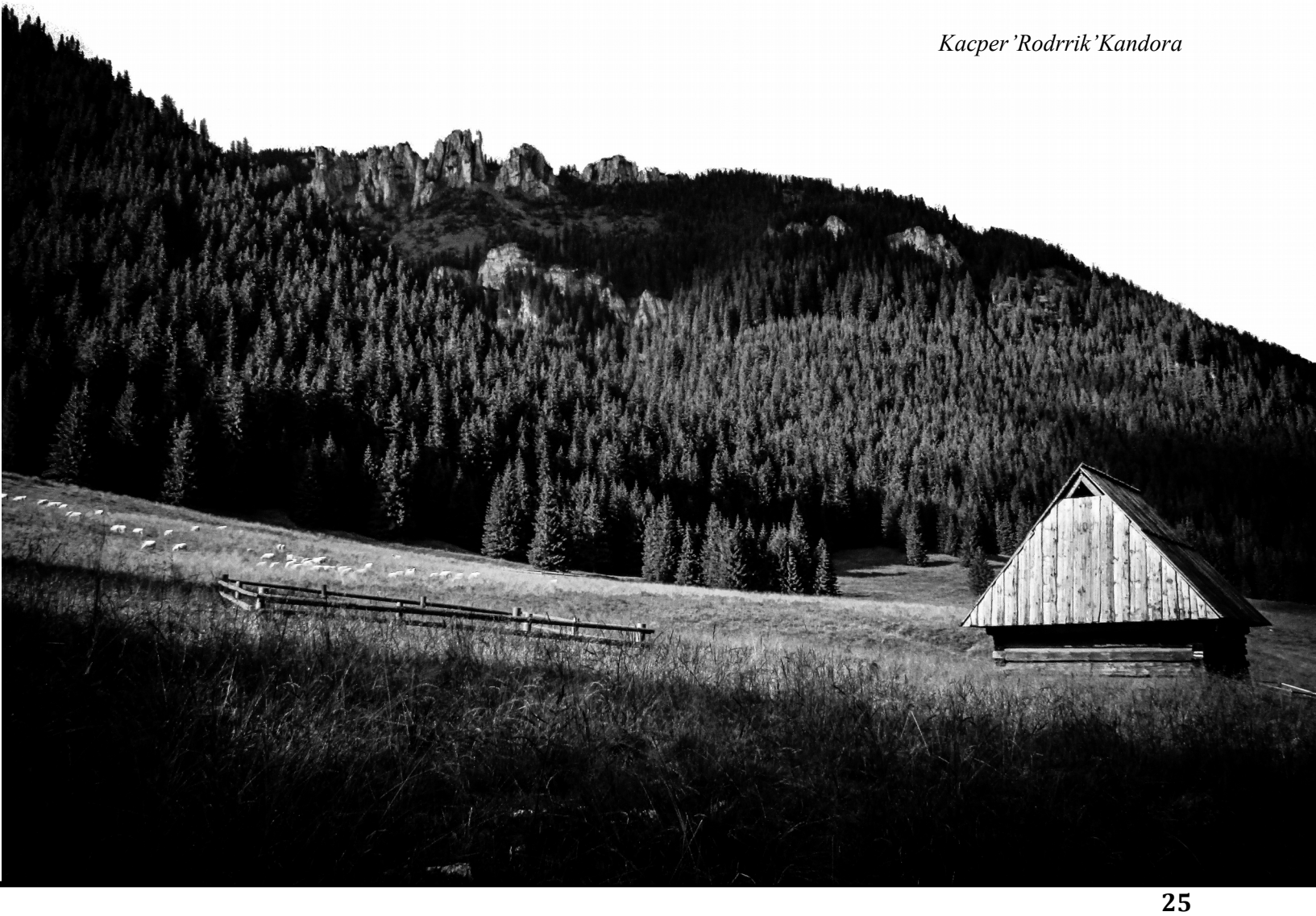

SPADKOBIERCY PYTII

Czy pęczniejące od danych serwery, potężne maszyny obliczeniowe i nieznane starożytnym, wyrafinowane techniki rachunku prawdopodobieństwa zmieniły jakościowo sytuację prognostów?

Potrafimy skutecznie i długofalowo zarabiać na ubezpieczeniach, formułujemy trafne, choć na razie krótkoterminowe prognozy meteorologiczne. By przewidzieć gdzie ktoś będzie przebywał w dowolnym dniu o jakiejś porze wystarczy dostęp do bazy danych telefonii komórkowej. Analiza wpisów na fejsbukowym profilu pozwala na dokonanie całkiem niezłej analizy osobowości, a internetowa wyszukiwarka trafnie podsuwa interesujące, nowe treści (i produkty). Nieudane przewidywania wyników wyborów ostudziły nieco zapał, ale technologia ma potencjał.

Sporo się zmieniło, jak widać choćby tylko po tych kilku powyższych przykładach. Wypasiona danymi sieć jest traktowana jak demon Laplace'a. Przyszłości wprawdzie jeszcze nie ma, ale ma ona korzenie w teraźniejszości, więc analiza wszystkich zmiennych powinna nie tylko dać wgląd, ale wręcz przewidzieć (z oszacowanym błędem) to, co może się wydarzyć, na razie raczej w globalnym, a kiedyś także jednostkowym wymiarze.

Jaki poziom skuteczności może osiągnąć technologia oparta na Big Data?

Tego nie wiem i chyba wolę nie wiedzieć, bo wcale mi się to nie podoba. Jednak uzdolnieni literacko i obdarzeni lotną wyobraźnią autorzy próbują. Jak choćby Mathew Mather, który z racji zawodowego doświadczenia zdaje się lepiej od innych wiedzieć o czym mówi. Idylliczna, libertariańska utopia przedstawiona w „Kronikach Atopii" okazuje się ułudą. Przypadek wyrzucony drzwiami, wraca oknem. Niekoniecznie trzeba wierzyć – co oczywiste – jego przewidywaniom i uznawać za prawdopodobne wymyślne fabularne twisty. Uniwersum które skonstruował na potrzeby powieści jest bogate i nie wszystko w nim jest równie wiarygodne.

Ale akurat prognozy, odgrywające w nim istotną rolę, osiągane w specyficzny sposób, dzięki sprzężeniu z rozszerzonymi rzeczywistościami użytkowników, udały mu się nad podziw. Ostrzeżenie przed skutkami informacyjnej asymetrii podobnie.

Istnieje nieprzekraczalna granica dla przewidywania opartego na brutalnej, kosztownej (i w związku z tym niedostępnej dla wszystkich) sile obliczeniowej. Nigdy nie będziemy wiedzieć wszystkiego. Demon Laplace'a jest jedynie wytworem filozoficznej wyobraźni. Pocieszające. Zasada nieoznaczoności Heisenberga – bo o niej mowa – zyskuje nieomal moralny wymiar. Tylko że do tej granicy jeszcze daleko.

Czy to jest futurologia?

Nie, to istniejąca i rozwijana technologia, mająca zresztą swoje ograniczenia. Pytania zostały dopasowane do narzędzia, a to czego nie da się nim badać straciło ważność. Ma naukowe znaczenie, ale to nauka wyjałowiona z najciekawszych i najważniejszych pytań. Dopóki kasa się zgadza refleksji nie będzie. Tradycyjny zakres zainteresowania starożytnych wróżbiarzy został zaanektowany przez techników spod znaku Big Data. Apollo, patron delfickiej wyroczni, powinien być skonfundowany, Pytia wymiękła.

Jednak apetyt rośnie w miarę jedzenia. Współcześni futurolodzy stawiają sobie pytania, które ich antycznym protoplastom w ogóle nie przychodziły do głowy. Nie mogły, bo nie zdawali sobie oni sprawy z tego, że świat może ulegać jakościowym zmianom na skutek naukowych odkryć. Ale to już zupełnie inna bajka. Tym kęsem futurolodzy się udławili.

Jerzy 'Jerzy' Kubok

NORTH WIND

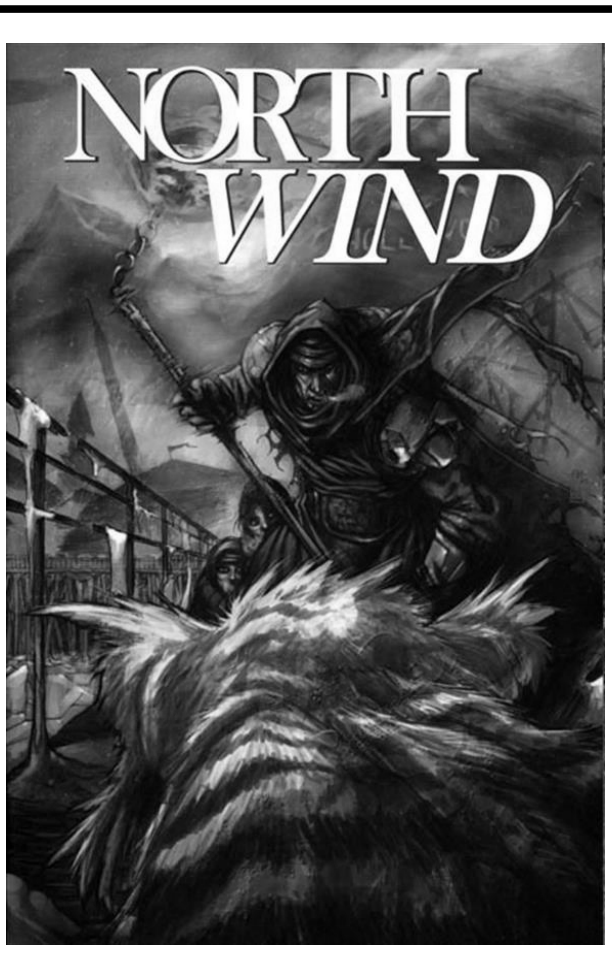

Scenariusz: David DiGilio
Rysunki: Alex Cal
Tytuł: North Wind / Północny Wiatr
Wydawca: BOOM! Studios
Liczba stron: 128
Format: 6x9
Druk: kolor
ISBN-13: 978-1934506448
[Niedostępny na rynku polskim]

"Posłuchaj, trzy rzeczy przetrwały wieki: Karaluchy, dziwki i dyktatorzy. To miejsce ma je wszystkie ...
Ale niektórzy z nas chcą zmian."

Czy jest bardziej postapokaliptyczna pora w roku niż zima? Mroki nocy wydłużają się. Duże zwierzęta przechodzą w stan hibernacji, starając się za wszelką cenę przetrwać. Ptaki uciekają w poszukiwaniu bezpieczniejszych miejsc. Cała przyroda staje przed wyzwaniem. Na szczęście po zimie, jak co roku, nastaje wiosna. Całe życie budzi się ze zgliszczy i od nowa rozpoczyna cykl. Jak nowe cywilizacje wyrosłe na zgliszczach starych.

Jeśli jednak wiosna nie zapanuje? Jeśli ta coroczna apokalipsa nigdy się nie skończy? O tym właśnie opowiada komiks autorstwa Davida DiGilio. Scenarzysty filmu familijnego "Przygoda na Antarktydzie". Tym razem David nie będzie jednak przyjazny rodzinie. W wykreowanym przez niego świecie ziemia obróciła się przeciwko nam, obejmując kolejne fragmenty planety lodowatym uściskiem. Ludność przymusowo wędrowała ku równikowi. Miliardy obcych kulturowo ludzi na małym terenie. To nie mogło się dobrze skończyć.

Dążąc do dominacji nad jedynym ciepłym skrawkiem ziemi rządy mogły zrobić wszystko. I zrobiły. Bomby w końcu spadły. Nieliczni ocaleni powrócili do wielkich zlodowaciałych miast, licząc na szansę przeżycia poza napromieniowaną równikową strefą śmierci.

Minęło 200 lat od upadku cywilizacji. Północny wiatr wieje, śnieg sypie, a mróz zbiera swe obfite żniwo. Nikt już nie pamięta poprzedniego świata.

Klisza za kliszą, płatek po płatku.

Głównego bohatera poznajemy jako młodego i odważnego syna starszej jednej z wielu wiosek walczących o życie na powierzchni zamarzniętych Stanów Zjednoczonych. Po krótkim wprowadzeniu rodzina i wioska naszego bohatera zostaje spalona przez despotycznego dyktatora gruzów Los Angeles.

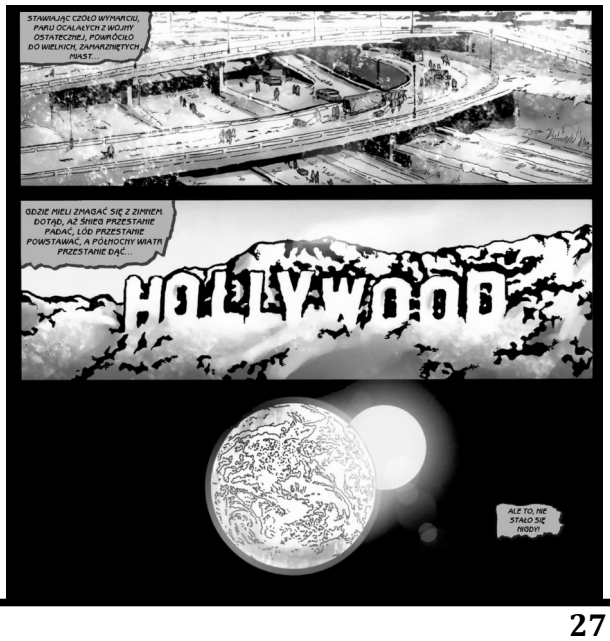

Sam protagonista zostaje uratowany przez mistycznego łowcę skór. Starszego mężczyznę będącego w istocie postapokaliptyczną i urealnioną wizją jedi. Łowca, wierzący w kodeks nakazujący samotność i określający miejsce w mistycznym cyklu życia, bierze chłopca na wędrówkę jako swojego ucznia, który pewnego dnia ma go zastąpić.

Uczy go sztuki przetrwania i posługiwania się ognistym mieczem, by po latach wędrówki mianować go swoim następcą i pożegnać się z własnym cyklem. Bohater po śmierci mentora, mając za nic lata nauki, chce się zemścić na Rzeźniku Joe, dyktatorze z Los Angeles. Dalsze fragmenty to już same klisze. Dawna miłość, heroiczna ucieczka, bunt ludu.

Wszystko to widzieliśmy już setki razy.

Jednak, z pewnego powodu, klisze nie przeszkadzają. Nie powodują uśmiechu zażenowania, a raczej po raz kolejny wciągają w tę samą historię. Dlaczego? Z dwóch powodów. Po pierwsze - dzięki akcji. Historia nie nuży, jest szybka, wartka i pełna wrażeń.
A narracja cały czas pędzi.

Jedak dzięki ograniczonej długości dzieła, przed końcem nie zdążymy zmęczyć się tym tempem. Komiks pochłaniamy z szybkością szczeniaka, który otrzymał swój przysmak. Drugim powodem, który przykrywa nieoryginalność i błędy scenariusza, jest grafika. Kreska Alexa Calla idealnie wpasowuje się w hollywoodzkie tempo komiksu. Jest żywa, ale przy tym idealnie oddaje klimat ogarniającego wszystko mrozu.

To dzięki temu komiks wciąga. Świat, tempo akcji i kreska grafika z nadwyżką rekompensują niedociągnięcia i powtarzalność historii, która, choć pełna klisz, próbuje powiedzieć coś więcej. Za to należą się ogromne pochwały autorowi. Podobnie za dialogi, które wypadają bardzo realistycznie i stanowią istną kopalnię dobrych cytatów. Nie jest to komiks najwyższych lotów. Brakuje mu oryginalności, a z racji niedużej objętości szybko dotrzemy do ostatniej strony. Jednak z pewnością warto go polecić fanom staroszkolnej postapokalipsy. Znajdą tu wszystko, za co pokochali Mad Maxa czy Wasteland Antonyego Johnston'sa.

Kacper 'Rodrrik' Kandora

Tłumaczenie komiksu dostępne dzięki pracy grupy translacyjnej GruMiK

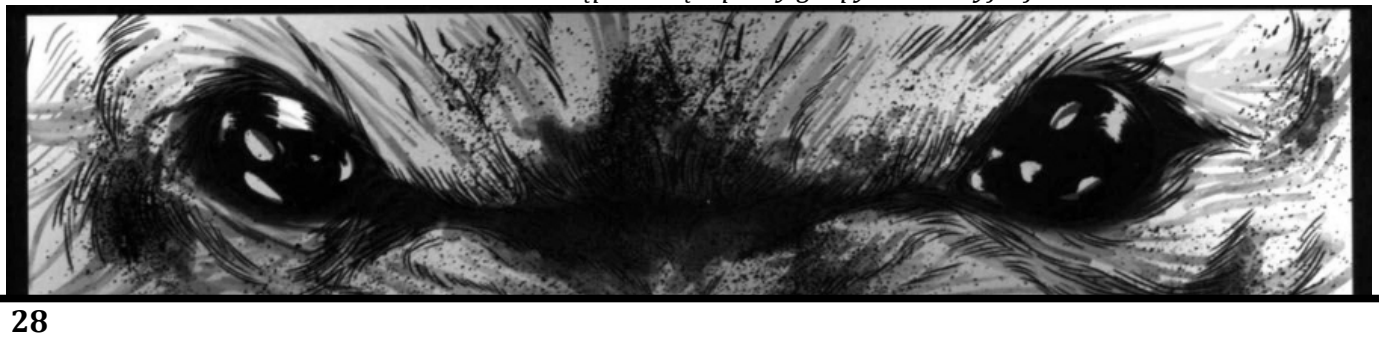

Opowiadanie

ZEERRUUM 13

Aktywny w Szaleństwie

Stary zegar z upartą kukułką, wiszący na ścianie pokoju w końcu wyrwał mnie ze snu. Mechaniczny dźwięk przypominający wołanie ptaka słyszałem już tyle razy, że przestałem na niego reagować. Gdybym wiedział, że dźwięk budzącego zegara warunkuje mnie na miłe przeżycia, być może cieszyłbym się bardziej z nastania nowego dnia.

Zsunąłem się leniwie z łóżka. Okręciłem wokół siebie kilka razy, rozprostowując wszystkie kończyny. Dopiero teraz otworzyłem oczy i przetarłem twarz. Nienawidziłem jej. Całe szczęście, że nie miałem lustra. Przyrzekam, rozbiłbym go na tysiące kawałków, byleby nie patrzeć na swoje oblicze. W trakcie toalety, przemywając twarz w misce zimnej wody, za każdym razem zamykałem oczy. Kolejnym porannym rytuałem było domknięcie zacinających się drzwiczek domku kukułki i nakręcenie znienawidzonego zegara. Jedyne co mi dawał, to iluzoryczne poczucie czasu, odmierzając sekunda po sekundzie moje bezwartościowe istnienie.

Mój dom – tak zwykłem mówić o tej dziwnej konstrukcji, w środku której znajdowały się przedmioty całkowicie niepasujące do siebie i nie mające żadnych użytecznych funkcji. W pomieszczeniu, które określałem jako „salon dla gości", pełniący również rolę sypialni, stało różowe, dość twarde, plastykowe łóżko okryte szarą kapą z syntetycznego materiału. Była tu również nocna szafka z dwoma, wiecznie pustymi szufladami i duży stół z kompletem krzeseł - zupełnie mi nie potrzebnych. W kuchni stały meble, które żywo przypominały te, znajdujące się w sklepowych katalogach z zabawkami dla dzieci. Toaleta nieczynna. W tym miejscu można powiedzieć najzupełniej szczerze – zwykła atrapa. Wszystkie czynności fizjologiczne musiałem wykonywać poza domem.

Co innego mogę powiedzieć o mojej skromnej kolekcji przedmiotów służących do badań prawideł natury i budowy mechanicznych konstrukcji. Pierwszy zestaw, składający się między innymi z kociołków, tygli, piecyków, retort, trójnogów, bagietek, wag, termometrów, gogli, ampułek i buteleczek – istnego wyposażenia pracowni alchemicznej – rozlokowałem w salonie na stole. Potrafiłem wykonywać badania godzinami. Jedną ręką wlewałem płyny do kolb, drugą podkręcałem palnik… a trzecią drapałem się po głowie, gdyż nie mogłem zrozumieć dlaczego za każdym razem nie wychodziło mi to, co chciałem osiągnąć. Zamiast tego tylko coś syczało, buchało lub topiło się.

Drugi zestaw - do mechanicznych konstrukcji - znajdował się w małym warsztacie obok salonu. Tutaj również mogłem przebywać godzinami, tworząc dziwaczne wynalazki. Łączyłem ze sobą stare,zniszczone koła zębate, kawałki metalu, drutu. Z wykorzystaniem substancji sporządzonych W pracowni obok, wprawiałem to wszystko w ruch. Oprócz wartości estetycznych, niestety nie miały żadnych innych zastosowań.

Wyników badań i odkryć nie zapisywałem w notatnikach czy marginesach ksiąg, ponieważ nie umiałem pisać. Sporządzałem w nich natomiast, skromne graficzne schematy z dokonań. Codziennie po porannej toalecie, zjedzeniu wielkiej kupy smakowitości na śniadanie, zakładałem na głowę malutki, ale gustowny cylinder, bacząc uważnie by nic mi nie przygniatał. W jedynym, naturalnie lśniącym, czarnym garniturze wychodziłem wówczas na zewnątrz domu. Chciałbym powiedzieć, że rozpościerał się przede mną piękny widok zielonych pól i odległych lasów leżących u szczytów wiecznie zaśnieżonych gór. Jednak nie dane mi było tego oglądać. Skwerek przed domem wyłożony był drobnym piaskiem, żwirkiem, tłustą ziemią, plastykową imitacją kamieni i płatami lekkiego materiału, który podrzucony, wolno opadał ku ziemi… Obok domu stało dziwne, powykręcane drzewo, o którym nie mogę powiedzieć nic więcej niż to, że przyciągało do siebie kurz. Nigdy nie słyszałem świergotu ptaków, buczenia owadów i nie czułem słodkich zapachów natury. Nie było zmian pogody, pór roku, a temperatura była zawsze jednakowa.

Niewielki teren posesji ogrodzony był z każdej strony matową, nieprzezroczystą i gładką taflą materiału, który w dzień był jasny, a w nocy ciemny, z małymi punkcikami nikłego światła w kolorze czerwonym i niebieskim. Podczas pierwszych dni pobytu w tym miejscu, próbowałem zrobić podkop, jednak tajemnicza, oszlifowana zapora, sięgała nieznanych otchłani ziemi.

Same pory dnia i nocy też wydawały mi się umowne. Pewnego razu obudziłem się w ciemnościach przed wrzaskiem kukułki. Zanim nastała całkowita jasność, światło musiało kilka razy silnie rozbłysnąć. Nie wiedząc co to może oznaczać, postanowiłem przez pewien czas nastawiać budzenie na wcześniejszą godzinę. Za każdym razem rano, dziwne zjawisko powtarzało się. Któregoś dnia, w godzinach popołudniowych, nierównomierna gra światła i ciemności trwała przez kilkanaście minut.

Bardzo często wspominam życie, które wiodłem z dala od tego miejsca… Długie wędrówki po świeżej trawie, soczystej glebie, wśród pędów rosnącego, dojrzałego zboża. W poszukiwaniu przygód i pyszności zapuszczałem się w każdy rejon ekosfery – od czubków drzew do wilgotnych, przyjemnych korytarzy wydrążonych w ziemi. Aż pewnego wiosennego wieczora, wylegując się na rozgrzanym ciepłem słonecznym kamieniu, spoglądając hen przed siebie, ujrzałem na horyzoncie wielką kulę oślepiającego światła. Zaskoczony i przestraszony, instynktownie skryłem się w głębokiej jamie i tam postanowiłem przeczekać tę osobliwość.

Ocknąłem się dopiero w tym Miejscu.

Teraz, jedyne co mi pozostało, to kilkunastominutowe spacery wokół domu, marzenia o roślinności w ogródku i kąpielach w cieple słonecznego światła. W kuchni odsuwam pokrywę w podłodze, gdzie co dwa dni znajduję jedzenie, nowe przedmioty oraz książki i tablice edukacyjne. Każda z tych rzeczy opakowana jest szczelnie w materiał, na którym narysowane jest logo – biała zębatka z cyfrą trzynaście pośrodku.

Protokół obserwacyjny numer: 170784 (fragmenty)
Obserwowany osobnik nie wykazuje żadnych zmian fizycznych związanych z otrzymaniem dużej dawki promieniowania, wynikającej z wybuchu jądrowego.
[…] Nie zdobyliśmy informacji o cechach obronnych organizmu, które uchroniły go od śmierci.
[…] Nie zauważa się wzrostu ilorazu inteligencji w porównaniu z innymi przedstawicielami gromady – stawonogów, po rocznym podawaniu zmodyfikowanego pokarmu typ - 29X10.
Rada Naukowa Trzynastego Schronu nie podjęła decyzji o dalszym losie wyżej wymienionego owada.

Uwagi:
Podtrzymano zalecenia, że nie należy potrząsać kulą śnieżną, gdyż źle wpływa to na zachowanie badanych obiektów.
Proszę nie zostawiać urządzeń elektronicznych na noc w trybie czuwania. Diody również zużywają prąd.
Każdą usterkę świetlówek, proszę zgłaszać niezwłocznie do konserwatora.

Tomasz ‘Stary Wujek Tyłak

Felieton

POD OKIEM CYKLOPA

"Prywatność to podstawowy warunek bycia wolnym człowiekiem."
Glenn Greenwald - Snowden. Nigdzie się nie ukryjesz"

Słowa Glenn Greenwald idealnie oddają istotę prywatności. Jest ona murem, za którym możemy ukryć różne sfery swojego życia. Murem chroniącym przed niepożądanymi oczami. Prywatność myśli jest istotą wolności. Nawet w niewoli możemy być wolni. Tak było przez wieki. Nieważne czy za kratami, czy na ulicy, nasze myśli były bezpieczne. Skryte w miejscu, do którego nikt nie miał dostępu. Więzień czy jeniec mógł zachować swoje tajemnice i żaden skalpel nie mógł ich znaleźć, nawet dostając się do jego mózgu, nikt oprócz niego nie miał tam dostępu. Tylko on mógł je zdradzić, tylko od jego siły, wytrwałości i odwagi zależało, czy niepowołane uszy dowiedzą się o jego tajemnicach.

Jak jest teraz? Ile jeszcze zostało nam czasu na nacieszenie się wartością, w której - upraszczając - mieszczą się wszystkie prawa człowieka.

Czy w ogóle mamy jeszcze czas?

Stan wyjątkowy we Francji utrzymywany jest od ponad 3 lat. Pozwala władzom na kontrolę kamer, możliwość wprowadzenia zakazu manifestacji. Upraszcza procedurę kontroli historii połączeń, czy aktywności w sieci. Polska ustawa antyterrorystyczna wprowadziła przymus rejestracji kart pre-paid. Ułatwiła dostęp służb do naszych połączeń, czy możliwość tymczasowego aresztowania, bez podania zarzutów. To tylko nieliczne z wielu możliwych przykładów. Inwigilacja życia obywateli ma zapewnić im bezpieczeństwo. Ten trend utrzymuję się od lat, stopniowo ograbiając nas z prywatności.

Coraz dokładniejsze kontrole kart kredytowych i płatności internetowych, szersze zastosowanie systemu rozpoznania twarzy, procedur jest mnóstwo.

Każda z roku na rok coraz odważniej wpycha swoje zwinne palce w nasze życie. Możemy być pewni, że każde nasze słowo wypowiadane do mikrofonu naszego telefonu, każda strona, z którą połączą się nasze urządzenia zostaną zarejestrowane i zapisane. Dla naszego dobra i dla naszego bezpieczeństwa. Jednak spokojnie, nie musisz się martwić. Jeśli jesteś grzeczny, nie dowiesz się nawet o tym, że ktoś cię podglądał. Służby nie mają obowiązku powiadamiać o tym obywateli.

Trudno powiedzieć czy przesuwanie barier prywatności w celu ochrony społeczeństwa przynosi pożądane efekty.

Natomiast bezspornym faktem jest, że proporcjonalnie do wzrostu zagrożeń na świecie, nasza prywatność coraz bardziej spada. Zwłaszcza w obecnych czasach bezpieczeństwo staje się priorytetem dla większości z nas. Dlatego wielu obywateli popiera takie posunięcia rządów. Warto się w tej sytuacji zastanowić przed kim dokładnie broni nas rząd, skoro na wszelki wypadek, śledzi każdego.

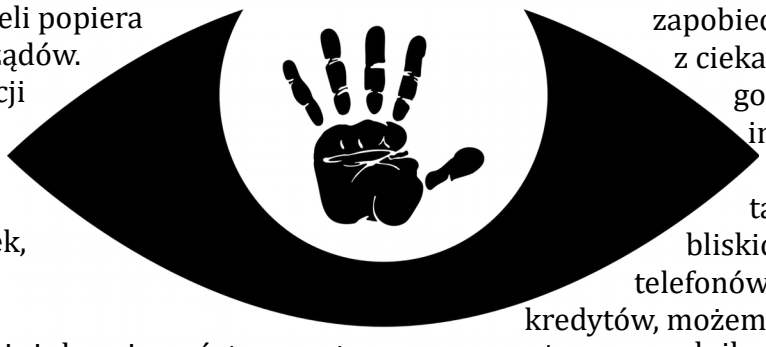

Skoro zapewniliśmy już bezpieczeństwo, a ty drogi obywatelu możesz bezpiecznie funkcjonować, to możemy zatroszczyć się o to, co rządzi naszym życiem, i naszą planetą. Zabrzmiało górnolotnie, ale o kasę chodzi.

Czy moja i twoja prywatność mają jakąś cenę?

Jakie nasze dane mają lub mogą mieć korporację, rządy i sąsiad, czy miła pracowniczka modnej restauracji, prosząca nas o imię do zamówienia, której z rozpędu podamy także nazwisko. Według raportu IAB [Związek Pracodawców Branży Internetowej], dane personalne w Internecie podaje 95% internautów. W tym: 73% adres skrzynki pocztowej, 68% numer telefonu i nazwisko, 46% lokalizację, 40% zatrudnienie, pesel i zdjęcie, 23% numery kart płatniczych, a 20% numery dokumentów.

Co z tak dużą ilością danych mogą zrobić korporacje? Mogą je spieniężyć.

Nasze numery telefonów mogą służyć firmom "call center" do sprzedaży usług i produktów za pomocą rozmów telefonicznych. Z historii naszych wyszukiwarek można dowiedzieć się, czego szukamy, gdzie chcemy wyjechać na wakacje, lub na jakie schorzenia zdrowotne cierpimy. To wszystko pomaga w dostarczeniu spersonalizowanych i przez to droższych reklam. Na zastosowaniu komercyjnym nie kończy, nasze dane służą też często do badań naukowych lub monitorowania zachowań konsumenckich. To tylko nieliczne przykłady zastosowania informacji o obywatelach. Branża rozrasta się w ogromnym tempie i praktycznie każdego dnia wyrasta nowa gałąź z nowym pomysłem na spieniężenie naszych danych.

Kiedy człowiek dowie się o ogromie informacji, do których każdy może mieć dostęp, często stara się temu zapobiec. Szczególnie kiedy z ciekawości wyszuka swoją godność w przeglądarce internetowej, a jeszcze częściej kiedy wpisze tam imiona swoich bliskich. Bojąc się kolejnych telefonów z ofertami świetnych kredytów, możemy sięgnąć po polecaną nawet w poradnikach, mających pomóc nam dbać o bezpieczeństwo, aplikacje truecaller. Ma ona blokować "fałszywe" telefony, a w rzeczywistości sprzedaje numery naszych znajomych, ściągając wszystkie kontakty na swoje serwery i sprzedając je bazom "call center". Dbając o swoją prywatności, można także zainstalować aplikację czy dodatek Ghostery. Co prawda chroni nasze dane przed stronami internetowymi. Jednak sam je zbiera i sprzedaje do banków danych. To tylko głośne przypadki udanych "prób" zarobku na "próbie" zapewnienia sobie większej prywatności.

Prywatność staję się towarem deficytowym, więc rynek się rozszerza, a cena ciągle wzrasta.

Liczba oszustów pragnących nam ją zapewnić dorównuje liczbie tych, którzy próbują nas z niej ograbić.

Prawda jest taka, że bez ogromnych nakładów czasowych i utrudnień w codziennym funkcjonowaniu, niewiele możemy zmienić, a droga na skróty może ograbić nas z resztek prywatności. Bez życiowych komplikacji, bez wystawiania się na lincz społeczny, bez wygospodarowania ogromnej ilości czasu i nierzadko pieniędzy, nie możemy ukryć się przed rządem i korporacjami. Im bardziej dbamy o naszą prywatność, tym - paradoksalnie - bardziej prowokujemy organy rządowe do inwigilacji. Skora tak, to pozostaje pytanie:

Czy nasze myśli można odkryć?

Więzień zamknięty w celi, nawet monitorowanej 24/7, nie ma zbyt dużej możliwości ucieleśnienia swoich myśli. W przechadzkach pomiędzy wychodkiem, łóżkiem, a ćwiczeniami na podłodze nie możemy nieumyślnie zawrzeć naszych przemyśleń, poglądów i sekretów. Jednak jeśli cela jest otwarta, więzień wolny, a kamery zostają? Czy przez lata życia w dzisiejszym społeczeństwie, setkach godzin rozmów telefonicznych, tysiącach esemesów i maili, niezliczonych godzinach spędzonych na przeglądaniu internetu, w dodatku w towarzystwie małego urządzenia z wiecznie włączonym GPS-em, mamy jeszcze możliwość ukrycia naszych myśli? Myśli i poglądów, które decydują o całym naszym postępowaniu. Czy w swoim 50-metrowym mieszkaniu, na strzeżonym osiedlu dalej wolno nam przeciwstawić się całej potędze korony ?

Żyjemy w ustroju gwarantującym nam wolność wypowiedzi. Wedle powszechnej opinii, nie robiąc nic złego, nie powinniśmy martwić się inwigilacją. Warto jednak przypomnieć, że 80 lat temu, nasz sanacyjny i niepodległy rząd tworzył więzienia polityczne i osadzał obywateli za krytykowanie przywódców. Władza ludowa, tylko 40 lat temu, strzelała do protestujących przeciwko rządowi robotników. Nawet dziś, na całym świecie, w dziesiątkach krajów, opozycjoniści, czy osoby nie zgadzające się z narzucanymi przez rząd poglądami i zasadami są mordowane, zastraszane lub wydalane.

Skoro władza ma dostęp do naszych myśli, to ma narzędzia do śledzenia każdego naszego ruchu, a może wręcz przewidywania go. Jeśli obecna, przyszła, własna czy obca władza zabroni nam krytyki? Zabierze nam wolności obywatelskie? Zakaże ważnych dla nas czynności, czy narzuci nam sposób życia, to czy wciąż, nawet najprostszemu człowiekowi w ścianach swej chaty, będzie wolno przeciwstawić się całej potędze korony? Czy będziemy mieli gdzie ukryć nasze myśli?

Kacper'Rodrrik'Kandora

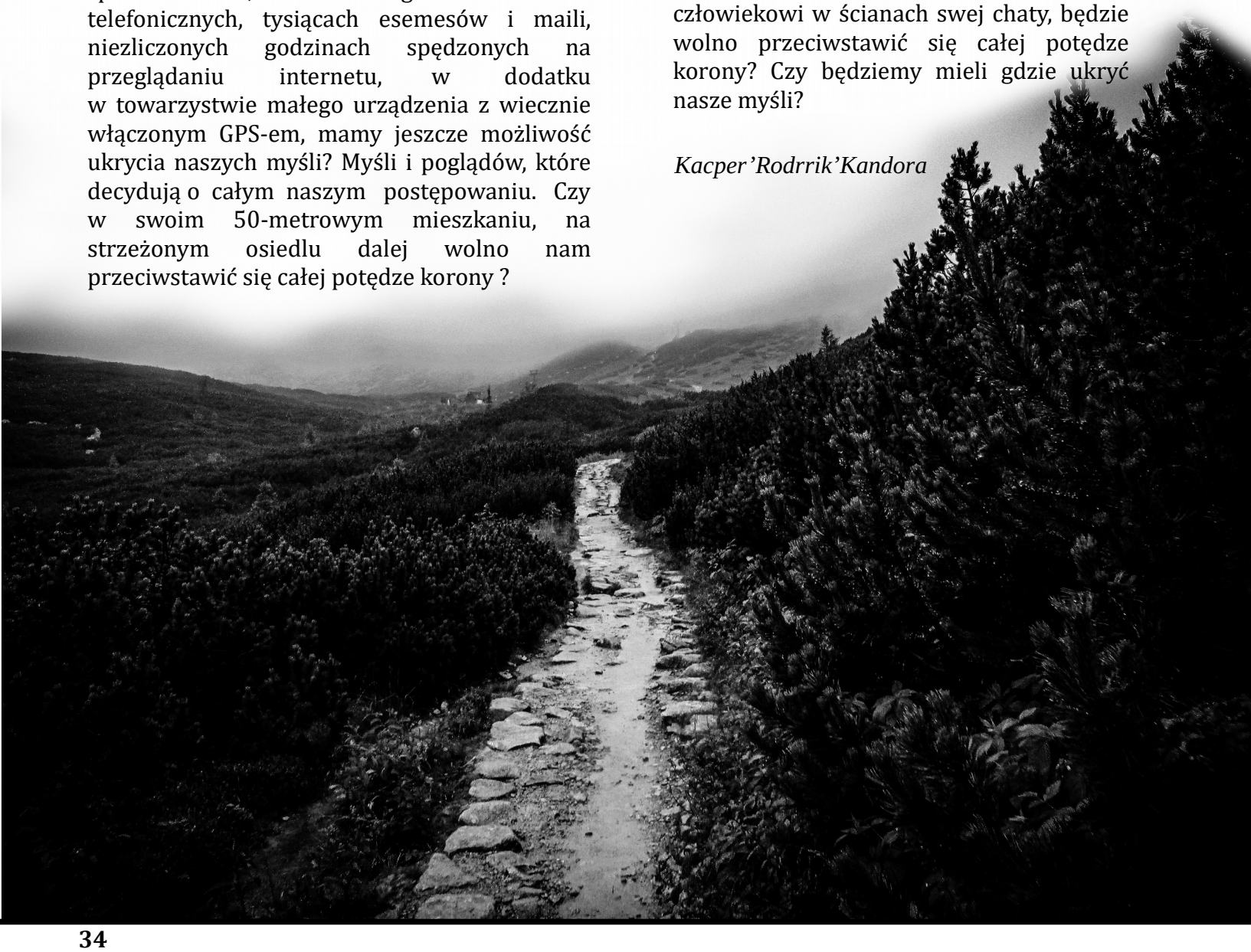

OTWARTE ŁAMY

Nie łam się, nasze łamy są otwarte!

Popkulturowa postapokalipsa nie jest w stanie obejść się bez niewolników. Powrót do starożytnego Rzymu, z jego gladiatorskimi popisami jest taki nęcący i widowiskowy. Nie idź tą drogą, wydeptana jest i śliska. Jednak niewolnik niejedno ma imię. Może także Twoje? Jeśli masz wrażenie, że los niewolnika nie jest Ci obcy, napisz. Byle dobrze. To jednak nie wszystko. **Czytaj! Kolportuj! Twórz!** Tak brzmi propagandowe hasło z jeszcze bardziej propagandowego plakatu Schronzina. Zainteresowany drugim lub trzecim? Napisz. Czekamy na każdą pomocną rękę gotową do roznoszenia, pisania, składania, rysowania czy naciskania spustu migawki. Na pewno odezwiemy się także do Ciebie. Za wkład w tworzenie Schronzina będzie czekać cię to co nas. Wielka micha lansu, finansowana ze skromnych zasobów **SSI** (Schronowych Służb Informacyjnych)

CZEKAMY!

schronzin@trzynasty-schron.net

Forum dyskusyjne Trzynastego Schronu

trzynasty-schron.net

Sojuszniczy portal Game Exe

Trzynasty Schron istnieje od 1999 roku i jest ewenementem w sieci. Mało która niekomercyjna strona internetowa - pamięta jeszcze poprzednie tysiąclecie. Schronzin powstał w roku 2011, by promować Trzynasty Schron i wyjść poza internet z tym co reprezentuje. Jeżeli chcesz nas w tym wspomóc, pomóż nam w wydaniu kolejnego numeru.

Będziemy wdzięczni za wpłaty na konto:
Kolektyw Trzynasty Schron
Ul Żwirki i Wigury 6/27
83-000 Pruszcz Gdański
NIP: 6040187396
Konto: 91 1600 1462 1832 1028 7000 0001

W tytule przelewu należy umieścić frazę "Darowizna na cele regulaminowe - Schronzin" oraz poinformować nas czy oraz jakie Twoje dane mogą zostać upublicznione w sekcji zina poświęconej tym, którzy go wsparli.

Przyjmujemy również inne formy pomocy, włączając pomysły, teksty, grafiki, a szczególnie dobre słowo.

Schronzin *jest własnością Kolektywu Trzynasty Schron. Wszystkie treści umieszczone w tym zinie są własnością ich autorów i podlegają ochronie prawa autorskiego. Kopiowanie i przetwarzanie bez podania informacji o autorze jest zabronione.*